

Karpacki Przegląd

kultura przyroda turystyka

Czasopismo bezpłatne
ISSN 2544-9028
Nr 1(58) 2025

Społeczno-Kulturalny

Z huculskiej grażdy
na salony Paryża

Sanocka Roma. Cyganie górcy
na pograniczu Karpat Wschodnich
i Zachodnich

Rozmowa z dr. hab. Piotrem Kłapytą

Oferta Karpackiego Uniwersytetu
Ludowego 2025

spis treści

ANDRZEJ POTOCKI Z HUCULSKIEJ GRAŻDY NA SALONY PARYŻA	3
WOJCIECH WESOŁKIN SANOCKA ROMA. CYGANIE GÓRSCY NA POGRANICZU KARPAT WSCHODNICH I ZACHODNICH	6
JOLANTA DANAK-GAJDA „ZAPAŻDZIAŁY” MIESZCZUCH – 50 LAT W SĄDECKIM SKANSENIE ROZMOWA Z MARIĄ BRYLAK-ZAŁUSKĄ, ETNOGRAFKĄ, WSPÓŁTWÓRCZYNIĄ I WIELOLETNIĄ KUSTOSZ SĄDECKIEGO PARKU ETNOGRAFICZNEGO W NOWYM SĄCZU	11
DR HAB. GRAŻYNA STOJAK, PROF. UR DWIE CERKWIE W USTIANOWEJ, JEDNA KAPLICA I JEDEN KOŚCIÓŁ.....	18
DR ŁUKASZ BAJDA Z PRZESZŁOŚCI WSI CARYŃSKIE	20
ANDRZEJ POTOCKI BIESZCZADZKI PRZYSTANEK NA ŻYCIE	22
KRZYSZTOF KRZYŻANOWSKI RODEM SPOD BABIEJ GÓRY DROGĄ GÓRSKICH MARZEŃ	25
JOZEF JURČIŠIN SKANSEN POD ZAMKIEM LUBOWŁA TO NIE TYLKO KWESTIA LICZBY	28
DR JUSTYNA CZĄSTKA-KŁAPYTA ROZETA – KARPACKI SYMBOL ŁADU W ŚWIECIE. NOWA PERSPEKTYWA ANALIZY	30
JACEK SZAREK SYMBOL BIESZCZADZKIEJ WIOSNY	32
DR HUBERT OSSADNIK, WOJCIECH WESOŁKIN BIESZCZADY PIÓREM MAŁOWANE (CZ. III)	35
LIDIA WIDAK OFERTA KARPACKIEGO UNIwersYTETU LUDOWEGO 2025	38

Zespół „Aniela Roma” z osady Podskalka (Słowacja), fot. W. Sosnowski



Karpacki Przegląd
Społeczno-Kulturalny

Wydawca:



**FUNDACJA
INSTYTUT
REGIONALNY**

Fundacja Instytut Regionalny
Bystre 39, 38-606 Baligród
instytut.regionalny.fundacja@gmail.com



Stowarzyszenie na Rzecz Rozwoju
i Promocji Podkarpacia „Pro Carpathia”
ul. Rynek 16/1, 35-064 Rzeszów
info@procarpathia.pl

ISSN 2544-9028
Czasopismo bezpłatne
nr 1(58) 2025

Redaktor prowadzący: Krzysztof Staszewski
Redakcja: K. Staszewski, A. Pieniążek, M. Pociask, L. Widak, D. Zielińska
Skład, oprac. graficzne: KORAW Dorota Koczub
Druk: Control+P Bartłomiej Trojnak Nakład: 1000 egz.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych
i zastrzega sobie prawo redagowania nadesłanych tekstów.
Kopiowanie i rozpowszechnianie publikowanych
materiałów wymaga zgody Wydawcy.

© Copyright by Stowarzyszenie „Pro Carpathia”

www.procarpathia.pl
www.instytutregionalny.eu
www.kulturakarpacie.eu
www.karpaty.turystyka.pl
www.skarbypodkarpacie.pl
www.podkarpackiesmaki.pl
www.zielonepodkarpacie.pl
www.szlakwolosci.eu
www.karpackiszlakwina.pl



**KOMITET
DO SPRAW
POŻYTKU
PUBLICZNEGO**



Narodowy Instytut Wolności
Centrum Rozwoju i Promocji Obywatelskiej

Sfinansowano ze środków Narodowego Instytutu Wolności –
Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego
w ramach Rządowego Programu Wspierania Rozwoju
Uniwersytetów Ludowych na lata 2020–2030



Rządowy Program
Wspierania Rozwoju
Uniwersytetów Ludowych
na lata 2020–2030
**Uniwersytety
Ludowe**

Z huculskiej grażdzy na salony Paryża

Wartość artystyczną w rękodziele huculskim jako pierwsi dostrzegli trzej Polacy: Włodzimierz Dzieduszycki, Oskar Kolberg i Edmund Starzeński. To za ich przyczyną wypłynęło ono na salony wystawowe.

We współczesnych muzeach na Pokuciu szukaliśmy przede wszystkim huculskich wyrobów artystycznych: ceramiki, z drewna i tkackich oraz wszelkich artefaktów związanych z dawnym życiem codziennym. Współcześni artyści ludowi i rzemieślnicy nawiązują przede wszystkim do wcześniejszego dorobku artystycznego, kiedy wytwórczość huculska inspirowana była zapotrzebowaniem polskich turystów zafascynowanych Huculszczyzną. Trzeba bowiem pamiętać, że Pokucie dla polskiej inteligencji było atrakcyjne turystycznie ze względu na góry i klimat. W okresie międzywojennym powstawały tu ośrodki narciarskie i sanatoria, a nawet kompleksy sanatoryjno-wypoczynkowe.

Huculszczyzna już przed pierwszą wojną światową była w znacznej mierze ukształtowana artystycznie, jeżeli chodzi o przedmioty codziennego użytku oraz przebrania świąteczne i religijne. Na tej bazie zaczęły powstawać coraz bardziej wyrafinowane przedmioty na zapotrzebowanie z zewnątrz. Pojawili się mistrzowie w poszczególnych rękodzielniach i śródowniskach. Poszczególne wsie specjalizowały się w rodzajach wytwórczości. Ceramika powstawała przeważnie w Kołomyi, Kutach i Pistyniu. Wyroby z drewna w Jesienowie i Żabiu. Tkactwo rozwinęło się w Kosowie, Peczeniżynie i wielu wsiach, na bazie wełny z własnych hodowli owiec i w każdym przypadku mamy inne nasycenie kolorów i wzory geometryczne.

Po raz pierwszy publicznie rzemiosło ludowe huculskie, pochodzące z prywatnych zbiorów hrabiego Włodzimierza Dzieduszyckiego, ordynata poturzyckiego, mecenasa sztuki i folklorysty, zostało pokazane na międzynarodowej wystawie w Wiedniu w 1873 roku. Ekspozycja dotyczyła całego Królestwa Galicji i rusińska Huculszczyzna jako taka nie była w sposób szczególny wyeksponowana, jakkolwiek przez swoisty artyzm wzbudziła szczególne zainteresowanie. Wystawę obejrzał m.in. cesarz Austro-Węgier i król Galicji Franciszek Józef I.

Włodzimierz Dzieduszycki, dla przypomnienia, był fundatorem kościoła w Zarzeczcu koło Jarosławia, gdzie został pochowany. W 1876 r. zorganizował Krajową Szkołę Garncarską w Kołomyi, powierzając jej kierownictwo artystyczne Aleksandrowi Bachmińskiemu.

Po raz kolejny sztukę huculską pokazano w 1877 r. na krajowej wystawie rolniczej i przemysłowej we Lwowie w dziale krajowe wyroby przemysłowe i rękodzielnicze. Wystawę wyrobów przemysłu domowego przygotował Włodzimierz Dzieduszycki. Ta ekspozycja utrwaliła przekonanie o wartości artystycznej *wyrobów przemysłu domowego ludu polskiego*. W roku następnym Muzeum Przyrodnicze im. Dzieduszyckich we Lwowie zaprezentowało na Powszechnej Wystawie w Paryżu wyroby galicyjskiego rzemiosła ludowego, stroje ludowe i pisanki, w tym także huculskie.



Kołomyja 17.04.1912 r., powitanie arcyksięcia Karola

W 1880 roku w Kołomyi została zorganizowana Wystawa Etnograficzna oddziału Czarnohorskiego Towarzystwa Tarzańskiego obejmująca powiaty: kołomyjski, kosowski, śniatyński, horodeński, zaleszczycki i borszczowski. Również i tę wystawę obejrzał cesarz Franciszek Józef I i zachwyił się ceramiką huculską. Kupił na niej piec huculski Aleksandra Bachmińskiego, którego zaszczycił rozmową. Była to pierwsza wystawa etnograficzna zorganizowana na ziemiach polskich. O tym, jak bogata była oferta, można przeczytać w „Pokuciu” O. Kolberga, w tomie pierwszym na str. 68-72, ale przede wszystkim w katalogu wydanym



Kołomyja, zbiory Muzeum Sztuki Ludowej Huculszczyzny i Pokucia, fot. Katarzyna Potocka



we Lwowie. W 1887 r. podobną wystawę etnograficzną, ale o znacznie mniejszym zakresie, zorganizowano w Tarnopolu. Na niej także pokazano huculskie rękodzieło, które zaczynało się stawać przedmiotem kolekcjonerstwa.

W latach 1880-1889 Ludwik Wierzbicki, wiceprezes Muzeum Przemysłowego we Lwowie, wystąpił z inicjaty-

wą wydawnictwa popularyzującego przemysł domowy galicyjskich Rusinów. Lwowskie „Wzory” stanowią zatem ważny przyczynek do poznania początków zbieractwa rzemiosła huculskiego, znaczenia tej gałęzi przemysłu domowego w rozwoju kolekcji lwowskiego Muzeum, roli odegranej przez wystawy światowe i lokalne w badaniach i kolekcjonerstwie tego typu przedmiotów. Opracowywane w ośmiu zeszytach kolekcje pochodziły ze zbiorów Włodzimierza Dzieduszyckiego, Jadwigi Sapieżyny, Włodzimierza Szuchewycza, Kazimierza Przybysławskiego i Waleriana Krycińskiego. Opisy w zeszytach były w czterech językach: polskim, niemieckim, francuskim i ukraińskim. Sztuka domowa Hucułów wychodziła w świat z pokuckich opłotków.

Kołomyja, naturalna stolica Pokucia, w tamtym czasie była znaczącym miastem, skoro w 1921 r. zajmowała w Polsce 12 miejsce pod względem liczby ludności, podczas gdy Rzeszów był na 37. To właśnie w Kołomyi hrabia Edmund Starzeński w 1892 r. zorganizował Muzeum Pokuckie, które mieściło się w jego dworze przy ulicy Kraszewskiego. Część zbiorów stanowiły zabytki ludowej kultury huculskiej: rzeźby, sprzęty domowe, takie jak meble (skrzynie, szafy), naczynia, talerze, dzbany, wazoniki, koszyki, także broń: toporki, strzelby skałkowe, pistolety, prochownice, drewniana i mosiężna biżuteria oraz ubiory.

Starzeński urodził się w Górze Ropczyckiej i był wybitnym kolekcjonerem i mecenasem sztuki. Do jego przodków należała Grabownica Starzeńska koło Brzozowa. Muzeum Pokuckie nie budziło jednak w tamtym czasie i miejscu zbyt dużego zainteresowania, dlatego po jego śmierci żona w 1909 r. przekazała zbiory do Muzeum Narodowego w Krakowie.

Wzrastające w kręgach etnograficznych zainteresowanie ludową sztuką huculską spowodowało, że w 1900 r. na Powszechnej Wystawie Światowej w Paryżu pokazano w ekspozycji poświęconej galicyjskiemu przemysłowi artystycznemu także meble huculskie Wasyla Szkryblaka z Jaworowej: dwie półki, dwa krzesła i szafkę, na których roz-



Siedziba Muzeum Sztuki Ludowej Huculszczyzny i Pokucia w Kołomyi, fot. Katarzyna Potocka



Wasył Szkryblak, odbitka z książki
W. Szuchewicza *Huculczyzna*



Kołomyja, Muzeum Sztuki Ludowej Huculczyzny i Pokucia, fragment ekspozycji,
fot. Katarzyna Potocka

stawiono ceramikę Aleksandra Bachmińskiego z Kosowa. Zaprezentowano również kilimy huculskie.

Włodzimierz Szuchewicz, ukraiński etnograf i publicysta, w pierwszym tomie „Huculczyzny” wydanej w 1902 r. we Lwowie nakładem Muzeum Imienia Dzieduszyckich napisał że *garncarze nie są Hucułami*. I wyliczył ich liczbę na 113. (...) *dostarczają glinianych wyrobów nie tylko na całą Huculczyznę galicyjską, ale i na bukowińską, nadto i na doły jak: powiaty Horodeński, Śniatyński, Kołomyjski, Penczeniżyński i Nadwórniański, a na Bukowinie na powiaty: Wyżnicki i Czernichowski, dokąd zwożą je kupcy żydowscy, którzy mają w miastach owych powiatów swe osobne składy*. W tamtym czasie w Kołomyi Żydzi stanowili ponad 40% mieszkańców miasta. Podobnie było w Kosowie i Kutach.

5 czerwca 1894 uroczyste otwarto Powszechną Wystawę Krajową we Lwowie, która była czynna przez cztery i pół miesiąca. Zwiedziło ją 1 mln 140 tys. osób, w tym także cesarz Franciszek Józef I. Wystawie towarzyszyły różnego rodzaju konferencje. Jedną z ciekawostek był *osedok* – zagroda huculska składająca się z kilku obiektów z pełnym wyposażeniem.

W 1912 r. arcyksiążę Karol odbywał służbę wojskową w Kołomyi, gdzie na ten czas zamieszkał, w 7 Czeskim Pułku Dragonów „Księcia Lotaryńskiego Karola Leopolda”. We wrześniu 1912 r. otwarto w Kołomyi zorganizowaną na prędkę wystawę eksponatów domowego przemysłu pod protektoratem arcyksięcia Karola i jego małżonki Zyty. Pokazano m.in. znakomite kolekcje ceramiki autorstwa Alek-

sandra Bachmińskiego z Kosowa, Piotra Koszaka z Pistynia i Stanisława Patkowskiego z Kołomyi.

W czerwcu 1913 r. Polski Dom Ludowy Towarzystwa Szkoły Ludowej w Kołomyi otworzył Muzeum Pokuckie i znalazła się tam część zbiorów Starzeńskiego, którymi nie było zainteresowane Muzeum Narodowe w Krakowie. Ekspozycje tego muzeum zostały zniszczone w czasie I wojny światowej, kiedy Kołomyję przejściowo zajęli Rosjanie.

Współczesne Muzeum Sztuki Ludowej Huculczyzny i Pokucia im. Josofata Kobryńskiego, proboszcza parafii greckokatolickiej z Jaworowa, na które składa się ok. 50 tys. eksponatów, jest zlokalizowane w zabytkowym Ukraińskim Domu Ludowym. Założono je w 1926 r., jednak otwarcie nastąpiło dopiero 1 stycznia 1935 r. Jakie były zasługi Josofata Kobryńskiego dla sztuki ludowej Huculczyzny, nie udało się nikomu z badaczy wiarygodnie ustalić, poza tym, że, jak pisze Włodzimierz Szuchewicz, *powierzał upiększenie niektórych przedmiotów cerkiewnych Jurkowi Szkryblakowi*.

Eksponaty w muzeum prezentowane są w kilku działach. Podaję zgodnie z kierunkiem zwiedzania: drewniane przedmioty użytkowe i sakralne, ceramika we wszystkich postaciach naczyń i kafle, przedmioty z metalu i skóry, kilimy, odzież codzienna i świąteczna, wyposażenie izby, ikony, malarstwo, wyposażenie salonu szlacheckiego. Niejako pomiędzy znajduje się rzeźba Johana Georga Pinzla „Dobry pasterz z jagniętami”. Każdego roku muzeum zwiedza około 200 tysięcy osób.

Rok 2025 na Podkarpaciu Rokiem Włodzimierza Dzieduszyckiego

Sejmik Województwa Podkarpackiego ogłosił rok 2025 na Podkarpaciu Rokiem Włodzimierza Dzieduszyckiego. W tym bowiem roku przypada 200. rocznica urodzin założyciela ordynacji poturzycko-zarzeckiej, który swoje rozliczne pasje przekuł na konkretne działania na rzecz społeczności lokalnej i narodowej. Znakomity gospodarz dóbr i innowator w dziedzinie rolnictwa, propagator autonomii galicyjskiej, kolekcjoner, mecenas nauki i sztuki. Donator instytucji edukacyjnych oraz organizator wystaw przemysłowych i etnograficznych, promując m.in. dorobek artystyczny Huculczyzny. Pomysłodawca i patron wielu inicjatyw kulturalnych, który zasłynął zwłaszcza utworzeniem Muzeum Przyrodniczego im. Dzieduszyckich we Lwowie – pierwszej tego typu instytucji na ziemiach polskich. Finansował stypendia, wspierał instytucje naukowe, takie jak Zakład Narodowy im. Ossolińskich, a także organizował wystawy promujące dorobek narodów Galicji.

Wojciech Wesołkin

Sanocka Roma

Cyganie górscy na pograniczu
Karpát Wschodnich i Zachodnich

Cyganie, którzy osiedlili się w podgórskich i górskich miejscowościach historycznej ziemi sanockiej, przez Jerzego Ficowskiego, wybitnego badacza kultury romskiej w XX w., identyfikowani byli jako Century. Ze względu na miejsce stałego pobytu w okolicach Sanoka, przez Cyganów nizinnych byli nazywani także Sanocka Roma.

Ich język zawiera wiele madziaryzmów co wskazuje, że przybyli z terenów węgierskich. Z czasem przyjęli także słownictwo pochodzące z gwary górali ruskich. Nie wędrowali, nie mieli wozów taborowych. Porzucenie nomadyzmu powodowało, że przez inne szczepy cygańskie traktowani byli jako gorsi. Mieszkali w prymitywnych budynkach zwykle na obrzeżu wsi, często nad rzeką lub potokiem. Zajmowali się głównie muzykowaniem. Posiadali też kuźnie, w których wykonywali prace kowalskie dla miejscowych górali Łemków i Bojków. Kobiety wynajmowały się do prac gospodarskich i dorabiały wróżbą, czasami żebrą. Obrzędowość tej grupy Cyganów nie zawiera tradycji religijnej. Najczęściej przyjmowali religię, która była dominująca w miejscu ich pobytu. W zdecydowanej większości byli chrześcijanami należącymi do parafii greckokatolickich, co jednak nie świadczy o asymilacji z dominującym niecygańskim otoczeniem etnicznym *gadziów*. Kierowali się odmiennymi od pozostałych grup cygańskich specyficznymi kategoriami światopoglądu traktowanymi jako nieinstytucjonalne, subiektywne wartości bez ich sankcjonowania.

Obecność Cyganów w Sanoku i okolicach odnotowano początkiem XV w. Przybywali z Węgier przekraczając Karpaty prawdopodobnie przez Przetęcz Łupkowską. Osiedlili się w ziemi sanockiej, ale docierali też do Lwowa. W 1420 r. w Trześniowie mieszkał *Petrus dictus Cygan*. Cygańskie pochodzenie przypisuje się szlachetnemu Mikołajowi Cyganowi, w latach 1427-1428 wojewodzie grodzkiemu sanockiemu. *Czigan kміє Matiasza* mieszkał w 1430 r. Zboiskach koło Bukowska. Wiele wskazuje na to, że ten sam kміє jako *Iacobus Czigan* odnotowany został w 1435 r. wśród mieszczan królewskiego miasta Tyrawa, dzisiejszej wsi Mrzygłód. Zapewne synem *Iacobusa Czigana* był *Ciganouicz* wymieniany w 1447 r. wśród mieszkańców Tyrawy Solnej.

Współcześnie na określenie ludności cygańskiej funkcjonują dwa etnonimy: *Rom* i *Cygan*. *Rom* jest etnonimem oficjalnym od 1971 r. i pochodzi z języka *romani*. Etnonim *Cygan* używany jest nie tylko w Polsce w języku potocznym. W wykorzystanych materiałach źródłowych pojawia się jedynie etnonim *Cygan* i taki został zastosowany w artykule.



Sanok, ul. Kościuszki I. 30. XX w. Kapela cygańska z Płowiec koło Sanoka. Fot. ze zbiorów autora

Nie znaleziono potwierdzenia, by Cyganie byli uczestnikami procesu osadniczego prowadzonego w ziemi sanockiej w oparciu o prawo wołoskie. Jednak wykluczyć tego nie można, ponieważ w patentach lokacyjnych m. in. *Komańczy*, *Rzepedzi* czy *Smolnika* nad *Ośławą* przewidywano osiedlenie kowala, a więc mógł być to trudniący się kowalstwem Cygan z Wołoszczyzny czy Mołdawii. W przypadku *Komańczy* kowal otrzymał pół ładu wolnego, a więc nie był obarczony powinnościami kmiecymi. Dokumenty sądu sanockiego z drugiej połowy XVI w. zawierają opisy przestępczej działalności Cyganów w okolicach Sanoka. Należy jednak zaznaczyć, że czyny przestępcze Cyganów, w stosunku do przestępczej działalności rozbójniczej pozostałych mieszkańców pogranicza polsko-węgierskiego, stanowiły niewielki odsetek.

Przytoczone poniżej zeznania procesowe dowodzą, że Cyganie kradzieży dokonywali przy współudziale innych miejscowych nie-Cyganów: *Testament Jana cygana* z 1577 r., *Który naprzód zeznał, iż z Wojciechem hajdukiem z Sieniawy chodzili do Radymna i ukradli dwa konia, z których jednego darowali panu Marszczyńskiemu za to, co je przechowywał; i drugi także u niego jest w pastewniku, jeden cisawy, a drugi siwy. Item zeznał, iż z drugim cyganem, na imię Koifr. Ukradli na przedmieściu rymanowskim wołu i dali go temu panu Marszczyńskiemu, arendarzowi w Sieniawie. Item w Nowosielcach ukradli dwa woły z drugimi cyganami i dali je panu Derszniakowi, który powiedział, że im kazał ukraść. Item zeznał, iż panu Pobidzińskiemu pokradli koni dwa, jeden siwy, a drugi rydzy, które konie mają drodzy cygany, którzy są albo mieszkają w lesie odrzechowskim w potoku jednym. Item zeznał, iż w Woli, wsi za Leskiem, ukradli cztery koni, z którego jednego dali dziesiętnikowi z Sieniawy, a drugiego ten dziesięt-*

nik do Węgier, a trzeci rydzy koń jest u Sienka, chłopca w Sieniawie, a czwarty jest między tymi cygany, co wlesie mieszka. Zachowany w aktach z 1585 r. Testament Piorta Feczysa z Olszanicy podaje: *Tenże, zeznał, że ukradł Leszko cygan, Stecz bereski (z) Zachutynia jałowicę pstrą w Lesku, którą pogнали do Krakowa; Tenże zeznał, że z Leszkiem cyganem ukradli jałowicę (z) Stróżów u Danka kaczmarza.*

Migracja Cyganów powodowana opresyjną wobec nich polityką krajów Europy środkowej i zachodniej powodowała zwiększenie ich populacji w Rzeczypospolitej, co stwarzało problemy natury społecznej i prawnej. Dotychczasowy na ogół przychylny stosunek państwa polskiego wobec Cyganów zaczął się zmieniać. Statuta Seymu Warszawskiego z 1557 r. nakazywały wręcz wydalenie i w przyszłości nieprzyjmowanie ludności pochodzenia cygańskiego do Królestwa Polskiego. Uchwała ta nie była jednak ściśle respektowana, o czym świadczą fakty podejmowania przez sejm tego problemu w kilkunastu następnych latach. Wobec zagrożeń zewnętrznych sanocki sejmik szlachecki w 1618 r. przestrzegał ludność z miejscowości nadgranicznych przed zagrożeniem m.in. ze strony Cyganów. Potwierdza to uchwała zachowana w sanockich aktach grodzkich: *My Rady Koronne Rycerstwo Ziemi Sanockiej (...) zjechawszy się do Sanoka (...) w tak wielkich niebezpieczeństwach (...) Ziemi naszej, o którym wiadomości mamy, iż niemała liczba sabatów, przy których aby Turcy (...) y Cygani bydlę mieli (...) kupami swemi ściągają się mil kilka od granic naszych.*

W 1652 r. kancelaria królewska, regulując zwierzchnictwo nad ludnością cygańską w Rzeczypospolitej, wydała przywilej starszeństwa nad wszystkimi Cyganami dla Mathiasza Karolowicza. Z dokumentem tym M. Karolowicz zgłosił się w urzędzie starościńskim grodzkim w Sanoku. Urząd oblatował ten dokument podejmując decyzję o wpisaniu go do akt sanockich. Może to świadczyć, że w połowie XVII w. w ziemi sanockiej przebywała znaczna ilość ludności pochodzenia cygańskiego, która miała podlegać zwierzchnictwu M. Karolowicza. W XVIII w. dolegliwość grasujących tu band cygańskich wymagała zbrojnej reakcji rotmistrza chorągwi sanockiej. Jej skutkiem było wytapanie Cyganów w lasach pomiędzy Zagórzem, a Posadą Leską. [...] *Powiązawszy ową bandę i wójta strojnego w czerwień i złote guzy, pędzono ich do Leska. Głęboką nocą stanęli na górze w pobliżu Sanu i po warty do Leska posłali. Zbiegło się dużo ciekawych. Trzy postawiono szubienice i wybrawszy dwunastu najprędniejszych, przez sprowadzonego oprawcę z Sanoka powieszono. Od tego czasu górka ta przy drodze do Woli Postołowej wie się „Pod szubienicami”.*

Nie bez wpływu na obecność Cyganów w ziemi sanockiej mogła mieć opresyjna polityka cesarzowej Marii Teresy w stosunku do ludności cygańskiej przebywającej na Węgrzech, gdzie byli niewolnikami, a po 1761 r. ochrzczono ich, zabroniono im wędrować, mieszkać pod namiotami i posługiwać się własnym językiem. Mężczyźni podle-

gali służbie wojskowej. Dodatkowo nakazano nazywać ich *Új-magyar* (Nowy Węgier). Po 1773 r. dodatkową ustawą nakazano odbierać dzieci Cyganom i przekazywać je na wychowanie chłopom węgierskim. Działania te mogły powodować ucieczkę z Niziny Węgierskiej i osiedlanie się w trudniej dostępnych górskich terenach po obu stronach Karpat. W Królestwie Galicji i Lodomerii identyfikowano ich po stroju i mowie potwierdzającej, że (...) *zaszli są z Węgier, lub z Wołochów strój i język ich wydaje. (...) po górach najchętniej się włóczą.* Z lat 80. XVIII w. pochodzi informacja o kapeli cygańskiej utrzymywanej w dworze szlacheckim w Ustianowej, z którą to kasztelan Kasper Brześciański przyjeżdżał w konkury na zamek leski. Obecność Cyganów w okolicy Hoczwi początkiem XIX w. obserwował młody Aleksander hr. Fredro podróżujący do majątku ojca w Cisnej. Wiktor Schramm wspominał o Cyganach z gór, którzy na targi w okolicznych miasteczkach, np. do Leska, pro-



Łemkowszczyzna 1935. Osiedle cygańskie. Fot. R. Reinfuss.
Ze zbiorów Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku

wadzili na tańcu tańczącego niedźwiedzia. Akta metrykalne sporządzone w parafiach greckokatolickich i rzymskokatolickich wykazują osoby pochodzenia cygańskiego o nazwiskach Andrasz (1894 r. Prełuki), Demiter (1844 r. Sanok, 1869 r. Kulaszne, (...) *obriadu ruskoho, stanu Cygan*), Dymyter (1853 r. Wola Michowa), Demeter (1822 r. Prełuki, 1867 r. Czystohorb (...) *cyngarius*), Gorol (1837 r. Prełuki), Hałuszka (1858 r. Komańcza), Huczko (1803 r. Sanok, 1810 r. Dobra Szlachecka, 1836 r. Prełuki, 1890 r. Płowce), Kuzio (1833 r. Duszatyn, (...) *Cyngarus*), Lolo (1835 r. Komańcza), Nodzio (1821 r. Łupków), Siwak (1789 r. Dąbrówka Ruska, 1817 r. Wola Michowa), Sywak (1790 r. Łupków, 1843 r. Wola Michowa, 1877 r. Tworylne).

W Tygodniku Ilustrowanym z 1881 r. znajdujemy subiektywny opis życia Cyganów w Kulasznie: *We wsi były też dwie osady Cyganów, brudnych i leniwych, natrętnie proszących o jałmużnę. Jeszcze kobiety cygańskie chętniej pracują, niż mężczyźni: zdarza się n.p. widzieć dwie Cyganki, piłujące drzewo, a Cygan przygląda się tej robocie, paląc spokojnie*

fajkę. Kobiety lubią także namiętnie tytoń i proszą o kawałki cygar. Przechowali swój język cygański, (...) Siebie nazywają Rom; (...) Mają też swoje (...) piosenki:

Aj more, more,
So tu kiergeł,
Łacze per kiergeł,
Name, name,
Czosze famo
Czukanos.

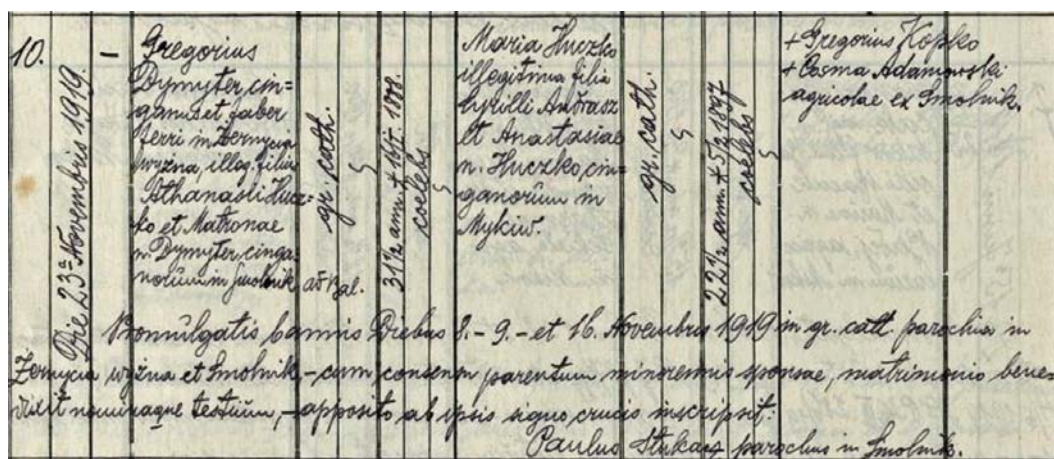
* * *

Dużym skupiskiem Cyganów była Wola Michowa. Przebywający tu na początku XX w. Stanisław Fischer tak opisał osiedle miejscowych Cyganów: (...) a poza rzeką rozciągało się długie nadrzeczne wiklinisko, będące w posiadaniu rozrodzonej i dawno tu już osiadłej cygańskiej rodziny Demetrów. Na wykarczowanej części wikliniska mieli ci Cyganie swoje stałe osiedle, złożone z kilku chat, kilku kuźnic i jednej stajni końskiej.

Wysiedlony podczas operacji „Wiśła” w 1947 r. z Woli Michowej Jan Kurak wspominał: (...) w pobliżu Osławy stały domy Cyganów. Leżały nisko, przez co, przy wezbranych wodach były zalewane. Wówczas Cyganie ze swoim dobytkiem uciekali. Schronienie dawali im mieszkańcy z domów położonych wyżej. Oprócz pomocy w sytuacjach opresyjnych, zażyłość pomiędzy góralami ruskimi, a żyjącą w ich otoczeniu ludnością cygańską potwierdzają wpisy w księgach metrykalnych parafii greckokatolickich, gdzie jako rodzice chrzestni dzieci cygańskich występują Rusini. Cyganie karpaccy pełnili głównie funkcję usługową w stosunku do miejscowej ludności góralskiej. Kwestionariusze informacyjne i Kwestionariusze badania środowiska sporządzane w I. 30. XX w. przez nauczycieli szkół na polecenie Inspektoratu Szkolnego w Sanoku oraz księgi adresowe zawierają informacje o tym, że metalowe narzędzia wykonywali kowale Cyganie, m. in.: Andrasz (Komańcza, Kulaszne, Mików, Pretuki), Dymiter (Wola Michowa), Hałuszka (Dołżyca k. Cisnej, Strubowiska), Huczko (Jaworzec, Osławica, Radoszyce, Smolnik n. Osławą, Solinka, Zawadka Rymanowska), Kałynycz (Bereżki, Wetlina), Lolo (Dołżyca k. Komańczy, Płonna), Nodzio (Łupków), Pawlikowicz (Stuposiany), Siwak (Lipowiec, Olchowiec, Szczawne), Sywak (Komańcza, Wołosate). Cyganie tworzyli również kapele muzyczne składające się zwykle ze 2 skrzypków i basisty. Zachowa-

ły się informacje o kapelach Demiterów (Wola Michowa), Goral i Huczków (Czystohorb, Jaworzec, Niebieszczany), Kuziów (Czaszyn), Siwaków (Płowce). Kunszt kapeli cygańskiej z Woli Michowej opisał S. Fischer w czasie łemkowskiego wesela: W drugim kącie izby w szarym mroku siedzi już kilku cygańskich grajków, którzy będą grać do tańca, a za ich plecami tłoczy się kilka Cyganek. (...) W izbie natłoczonej weselnikami, w ciasnym kole, otoczonym zwartą ścianą szuchajów, młodych i gazdów, tańczy przez chwilę w takt cygańskiej muzyki panna młoda, a tańczy sama, potem przez chwilę tańczy pan młody – znowu sam, i oboje usuwają się z izby. Teraz kolej na weselników. Hula już kilkanaście par, ale ten ich taniec to tylko dreptanie w miejscu. Rytmika gry i tańca coraz słabsza, potem nagłe zwolnienie i znowu powrót do tempa poprzedniego – typowe t e m p o r u b a t o, takie samo, jakie się słyszy w węgierskich czardaszach. O pokrewieństwie tego łemkowskiego tańca z węgierskim wiedzieli widocznie dobrze dziadkowie i pradziadkowie dzisiejszych łemków, kiedy ten swój taniec nazywali „madjarem”.

Bardzo często Cyganie tąpiali zajęcia kowala i muzykanta. Zimą zajmowali się kowalstwem wykonując zamówienia miejscowych gazdów, często przy pomocy członków rodziny dymających miechem i wtórujących drugim młotem przy kuciu żelaza na kowadle. Latem zaś w wędrownych kapełach grali na weselach, zabawach, w karczmach, restauracjach, a nawet w wagonach kolejowych. W wywiadzie przeprowadzonym w 1961 r. w Komańczy przez studentkę wydziału etnografii Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w czasie obozu naukowego kierowanego przez prof. Romana Rainfussa Cygan Karol Sywak wspominał: Wybrał kowalstwo, bo to „jedyny zawód dla Cygana”. (...) Zawodu uczył się od dziadka i matki. (...) W kuźni dziadka wykonywano: podkowy, klamki, zawiasy, młoty, świdry, siekiery, okucie do wozów... (...) W czasach najdawniejszych dziadek przynosił sztaby żelaza na plecach z Węgier. (...) Gdy miał 20 lat nauczył się grać na basach. W zimie zajmował się kowalstwem, w lecie chodził grać. Grał w Kołomyi, we Lwowie, w Woroneżu, w Żabiem, w Żegiestowie, w Zakopanem, Muszynie. Gdy miał 21 lat ożenił się z Cyganką z Zyndramowej – też córką kowala. Żona tańczyła i śpiewała, on grał w 30 osobowym zespole utworzonym przez Goralę Tomasza – to był madziarski Cygan. Z zespołem byli w Czechach (Prawa), we Wiedniu, w 1925 roku wyjechali na dwa tygodnie do Rumunii jako „muzyka dla wycieczki”. Dochody z prowadzonej działalności niektórym Cyganom pozwalały zgromadzić majątek, który był przedmiotem postępowania spadkowego. Przykładem jest sprawa tocząca się w latach 1931-1936 przed Sądem Grodzkim w Bukowsku dotycząca spadku po Józefie Demeter i Katarzynie De-



rym Cyganom pozwalały zgromadzić majątek, który był przedmiotem postępowania spadkowego. Przykładem jest sprawa tocząca się w latach 1931-1936 przed Sądem Grodzkim w Bukowsku dotycząca spadku po Józefie Demeter i Katarzynie De-

Wyciąg z Księgi małżeństw dla miejscowości Mików. Źródło: AP Sanok, zespół 509, sygn. 7, k. 22

meter z d. Siwak ze Szczawnego. Mężczyźni pochodzenia cygańskiego podlegali obowiązkowi wojskowemu. Wspominał o tym w wywiadzie wyżej cytowany K. Sywak, ale również potwierdzają to wpisy w rejestrach mieszkańców wsi, np. Solinki. Tragiczne chwile przeżywali Cyganie w okresie II wojny światowej. Hitlerowcy kierowali ich do prac ponad siły, osadzali w obozach koncentracyjnych i obozach pracy na rzecz okupanta. Życie tracili w trakcie egzekucji dokonanych przez żandarmię, gestapo i Wehrmacht w Barwinku, Komańczy, Mrzygłodzie, Olszanicy, Posadzie Górnej, Rymanowie, Rzepedzi, Sanoku, Szczawnem, Ustrzykach Dolnych, Wielopolu, Zagórze, Ząhutyńiu i Zastawiu. Szczególnie drastyczne były egzekucje w Szczawnem, gdzie w 1941 r. hitlerowcy w oknie jednego z domów ustawili karabin maszynowy i rozstrzelali 37 miejscowych Cyganów (10 mężczyzn, 20 kobiet i 7 dzieci), przy tym spalono 3 domy, zapewne dla zatarcia zbrodni. Schwytanych w Ostawicy 26 Cyganów w sierpniu 1943 r. rozstrzelano nad potokiem Piwny w Komańczy. Wśród rozstrzelanych były kobiety i dzieci. Relację z tej tragedii przekazała Teresa Jarosz, świadek tych wydarzeń: (...) kilku gestapowców prowadziło na rozstrzelanie grupę Cyganów. Pośród nich była młoda, piękna Cyganka, która okropnie rozpacziała, rzucała się na gestapowców i błagała ich by darowali im życie. Oczywiście tego nie zrobili, wszystkich pędzili w kierunku Prełuk i tam ich rozstrzelali.

We wspomnieniach przewijają się epizody dotyczące udziału Cyganów w działalności Związku Walki Zbrojnej. Wspominany jest Cygan o nazwisku Siwak, za którego pośrednictwem już w jesieni 1939 r. dokonywano przrzutów osób zmierzających przez Słowację na Węgry. Przesunięcie się frontu niemiecko-sowieckiego we wrześniu 1944 r. przyniosło mobilizację prowadzoną przez Sowietów wśród ludności łemkowszczyzny. Odnotowano przypadki, że w szeregi Armii Czerwonej wcielano również Cyganów.

Pomimo eksterminacji ludności cygańskiej prowadzonej przez hitlerowców część tej społeczności przeżyła II wojnę światową. W 1944 r. w gminie Baligród we wsi Bystre mieszkało 15 osób o nazwisku Kałynycz, i 1 osoba o nazwisku Hałuszka. W 1945 r. na terenie gminy Wola Michowa zarejestrowano 66 osób pochodzenia cygańskiego, w tym w samej Woli Michowej 27 osób o nazwiskach Demyter, Dmyter, Huczko, w Maniowie 2 osoby Nodzio, w Łupkowie 10 osób Nodzio, Kuzio, Huczko, w Smolniku 21 osób Huczko, Sywak i w Solince 5 osób Demyter. W gminie Cisna Cyganie mieszkali w Dołżycy – 15 osób o nazwisku Hałuszka i 1 osoba Huczko, w Smereku 3 osoby o nazwisku Huczko i 19 osób Kałynycz, w Wetlinie 1 osoba Huczko, w Zawoju 7 osób Huczko i 7 osób Nodzio oraz w Żubraczem 6 osób o nazwisku Dymyter. Cyganów nie odnotowano na wykazach osób opłacających w gminie Wola Michowa podatek gruntowy co potwierdza, że nie posiadali gruntów. Jedynie siedmiu mężczyzn o nazwisku Demiter i jeden o nazwisku Sywak opłacało podatek wojskowy.



Wołosate, ob. pow. bieszczadzki, 1935. Zabudowania cygańskiej rodziny Sywaków – chata i kuźnia. Fot. R. Reinfuss. Ze zbiorów MBL w Sanoku

W działaniach Ukraińskiej Powstańczej Armii miał uczestniczyć Cygan z Ostawicy. W tej wsi Służba Bezpieczeństwa Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów dokonała zabójstwa Cyganki, której zarzucono współpracę z polskimi władzami. Wysiedlenia na mocy układu pomiędzy Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego, a rządem Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Rad (USRR) dotyczącego ewakuacji obywateli polskich z terytorium USRR i ludności ukraińskiej z terytorium Rzeczypospolitej Polskiej zawartego 9 września 1944 r. nie obejmowały ludności cygańskiej. Jednak w latach 1944–1946 część osób i rodzin pochodzenia cygańskiego zdecydowało się wyjechać na sowiecką Ukrainę wraz z Bojkami i Łemkami w większości deportowanymi przymusowo. Już w grudniu 1944 r. z Płonnej wyjechała cygańska rodzina Maksyma Lolo, która jednak niedługo powróciła do wsi. Wiosną 1946 r. wraz z deportowaną ludnością pochodzenia ukraińskiego z Kulasznego wyjechała rodzina Andrasz, pojedyncze osoby i rodziny Demyter wyjechały z miejscowości Karlików i Płonna, Dymyter z m. Łupków, Goral z m. Karlików i Płonna, Hałuszka z m. Hoczew, Huczko z m. Łupków, Dąbrówka Polska, Międzybrodzie, Olchowce, Ostawica, Płonna, Trepcza, Srogów Dolny, Kałynycz z m. Przysłop, Smerek, Sukowate i Wetlina, Kuzio z m. Czaszyn, Dolina, Łupków, Morochów, Radoszyce, Wysoczany, Zagórze, Zastaw, Mucha z m. Polańczyk, Zątwarnica i Wetlina, Myrga z m. Mików i Radoszyce, Nodzio z m. Kulaszne i Łupków, Siwak z m. Płonna, Sywak z m. Karlików, Kulaszne, Lipowiec, Łupków, Moszczaniec, Mrzygłód, Ostawica, Smolnik n. Ostawą, Smerek, Wetlina. Kilka dziesiąt rodzin cygańskich pozostało m.in. w Dołżycy k. Cisnej, Czystohorbie, Komańczy, Niebieszczańach i w Woli Michowej. Część pochodzących z Lutowisk, Stuposian, Smereka, Wetliny przeniosła się do Bystrego koło Baligrodu. Z uwagi na wysiedlenie góralskiej ludności bojkowskiej i łemkowskiej, która w dużej części dawała podstawy ekonomiczne bytu ludności cygańskiej oraz eskalację działań



Kulaszne pow. sanocki. Pozostałości kuźni Fedora Andrasza, 2024. Fot. autora

zbrojnych Ukraińskiej Powstańczej Armii, Cyganie zaczęli opuszczać teren powiatów leskiego i sanockiego. Wolę Michową Cyganie opuścili w 1946 r. nocą zabierając jedynie to co mogli unieść. Wyjechała także rodzina Karola Sywaka kowala i muzykanta z Komańczy. Wyjeżdżali głównie na Dolny Śląsk, m.in. do Dusznik, Kątów Wrocławskich, Kowar, Nysy czy Paczkowa, po czym w latach 1949–1954 większość tych cygańskich rodzin przybyło do Słupska. Jak wynika z akt słupskiego urzędu miejskiego przydzielono tu mieszkania dla osób urodzonych w miejscowościach: Balnica – Huczko, Bochnia – Mirga, Bukowiec – Huczko, Czystohorb – Goral, Huczko, Grab – Siwak, Komańcza – Dymiter, Lipowiec – Szoma, Niebieszczany – Dymiter, Huczko, Płonna – Lolo, Demeter, Płowce – Huczko, Polany Surowiczne – Demeter, Demiter, Goral, Siwak, Postołów – Huczko, Radoszyce – Dymiter, Rudawka Rymanowska – Goral, Rzepedź – Siwak, Sywak, Sanok – Huczko, Sukowate – Dymiter, Surowica – Goral, Górniak, Wiśtok Wielki – Demiter, Dymiter, Wielopole – Huczko, Wola Michowa – Demeter, Demiter, Dymiter, Demyter, Dymitrów, Huczko, Siwak, Sywak. Wśród przybyłej do Słupska społeczności cygańskiej rolę przewodnią pełnił Jan Dymiter, tzw. „wójt

cygański”, a w słupskiej Miejskiej Radzie Narodowej reprezentował ją radny Andrzej Siwak. Kilkunastu Cyganów tworzyło kapele muzyczne, kilku zajmowało się kowalstwem i kotlarstwem. Wróżbiarstwem zajmowały się niektóre kobiety, w tym ciesząca się poważaniem Ewa Huczko urodzona w 1917 r. w Czystohorbie, która zmarła w wieku 97 lat.

W 1966 r. w Słupsku zameldowanych było 170 Cyganów w 34 rodzinach cygańskich i 19 w 6 rodzinach mieszanych. Dominowali urodzeni w Czystohorbie i w Woli Michowej. Stąd nazywali siebie odpowiednio: Horby i Wolakery. Odczuwali zapewne związek z miejscem urodzenia. Przykładem jest urodzony w 1942 r. w podsanockich Niebieszczanach Maksym Huczko, który zmienił nazwisko na Sanocki. Na cmentarzu komunalnym w Słupsku znajdują się pochówki wielu Cyganów pochodzących z okolic Sanoka. Ich potomkowie w większości przebywają obecnie w Wielkiej Brytanii, ale kultywują cygańskie obyczaje i tradycje muzyczne, przekazane przez rodziców i dziadków urodzonych w Karpatach. Nie wszyscy Cyganie opuścili Sanocczynę. W latach 50. XX w. w Baligrodzie mieszkali rodziny Kałynycz i Huczyński, w Cisowcu osoby Hałuszka, Huczko, Kałynycz, Pawlikowicz, w Stężnicy Kałynycz, w Komańczy rodziny Andrasz i Huczko oraz rodzina Sywak, która powróciła do wsi w 1958 r. W Niebieszczanach i Posadzie Górnej przebywała rodzina Huczko, a w Stróżach Małych rodziny Dmytriak, Huczko i Siwak. W 1955 r. do Olchowca z Ziemi Odzyskanych wróciła rodzina Huczko. W Besku osiadła, utrzymująca się z wróżbiarstwa, rodzina Goral, która powróciła z Kamiennej Góry w 1961 r., ale w 1964 r. przeniosła się do Tarnowa. W 1966 r. w pow. leskim 19 osób narodowości cygańskiej odnotowano w Baligrodzie. W 1968 r. w pow. sanockim mieszkało 13 Cyganów, w tym siedmioosobowa rodzina Huczko w Posadzie Górnej, czteroosobowa w Komańczy i dwuosobowa w Rzepedzi. Spis powszechny ludności z 2021 r. w danych dotyczących identyfikacji narodowo-etnicznej podaje, że w południowych powiatach woj. podkarpackiego przebywało 124 osoby deklarujące pochodzenie romskie, w tym w pow. leskim 8, a w pow. sanockim 13 osób.

Bibliografia

1. Akta Grodzkie i Ziemskie z czasów Rzeczypospolitej Polskiej z archiwum tak zwanego bernardyńskiego we Lwowie, tom XI, Lwów 1886.
2. Balzer Oswald, *Regestr złoczyńców grodu sanockiego 1554–1638*, Lwów 1891.
3. Fastnacht Adam, *Słownik historyczno-geograficzny ziemi sanockiej w średniowieczu*, cz. 2, Brzozów–Wzdów–Rzeszów 1998 i cz. 3, Kraków 2002.
4. Книга пам'яті Лемківщини, ред. Я. Галік, Том 2, Том 3, Львів 2016.
5. Lutecki Władysław ks., *Historie niektóre ziemi sanockiej*, Warszawa 1938.
6. Molisak E., *Sytuacja ludności cygańskiej w powiecie sanockim w latach 1954–1972*, „Prace Historyczno-Archiwalne”, t. XVII, Rzeszów 2006.
7. Mróz Lech, *Dzieje Cyganów-Romów w Rzeczypospolitej XV–XVIII w.*, Warszawa 2001.
8. Mróz Lech, *600-літня історія циган в Галичині*, „Народознавчі зошити”. Часопис Інституту народознавства НАН України, 2005, nr 3-4 (63-64).
9. Najstarsza księga sądowa wsi Trześniowa 1419–1609, wyd. H. Polackówna, Lwów 1923.
10. *Rejestr miejsc i faktów zbrodni popełnionych przez okupanta hitlerowskiego na ziemiach polskich w latach 1939–1945*, Województwo krośnieńskie, Warszawa 1983.
11. Szewczyk Marcin, *Romowie karpaccy wśród etnicznych grup rusińskich w Polsce*, „Studia Romologica”, 2023, nr 1.
12. Tarnawski Jerzy, *Nie masz już Cyganów...*, „Bieszczad”, 2007, nr
13. *Znikające domy. O architekturze obszaru Poraj, Mokre, Morochów, Niebieszczany. W obiektywie i opowieści...*, red. M. Serafin, Cieszyn, b.r.w.

„Zapaździały” mieszcuch – 50 lat w sądeckim skansenie

Rozmowa z Marią Brylak-Załuską, etnografką, współtwórczynią i wieloletnią kustosz Sądeckiego Parku Etnograficznego w Nowym Sączu

– Jest pani dzieckiem wojny, bowiem urodziła się pani w 1943 roku we Lwowie. Jakie były losy pani rodziny podczas wojny i zaraz po niej?

– Ciekawe były losy w czasie wojny! Mój tata, który był prawnikiem po Uniwersytecie Lwowskim, jak wiele osób z inteligencji, wylądował u profesora Weigla¹, przez pewien czas był „weiglowcem”, najpierw karmicielem wszy, a potem preparatorem. Ja jestem czterdziesty trzeci rocznik, z końca tego roku, z zimy; wtedy we Lwowie już było całkiem kiepsko, nastąpiła zmiana Niemców na Sowieć. To były bardzo trudne czasy; żyję dzięki płatkom owsianym profesora Weigla, które pracownicy mający małe dzieci dostawali z przydziału, tak że na moje losy Lwów zapracował... Po wojnie ludzie we Lwowie czekali do 1946 roku, jak się sytuacja potoczy, ale w końcu uznali, że trzeba jechać do Polski. Potem było różnie, m.in. ze względu na pracę tatę. Powiedziała-bym, że dzieje naszej rodziny były dość typowe, ale też ciekawe, bo myśmy objechali pół Polski, z tego względu, że tatę stale przenosili, bo był dobrym przedwojennym fachowcem i gdzie zrobił porządki, to dawali z nadzianu własnego dyrektora, a pan Brylak był przenoszony do innego miasta robić porządki, tak wtedy było.

– Po wędrówkach po Polsce w końcu rodzina osiedliła się w Lublinie, dlaczego właśnie w tym mieście?

– Lublin był ostatnim miejscem, do którego przeniesiono tatę, wtedy z Poznania. A my z siostrą co parę lat – nowa szkoła, zawsze byłam nowa w klasie. Co się jakoś przyzwyczaiłyśmy i czułam się na swoim miejscu, to tata znowu gdzie indziej przechodził. Rok, półtora był w delegacji bidak sam w hotelach, a potem mieszkanie dostawał i nas ścigał. Przed wojną tata – jako prawnik, a potem jako jeden z organizujących instytucję fachowców – pracował w Polminie² i po wojnie kiedy z Polminu wciągnęli go do CPN-u³ i to właśnie w CPN-ie tak go przetrzucali co parę lat gdzie indziej. Ja myślę, że gdyby profesor Weigl dłużej żył (zmarł nagle w 1957 roku) i w Krakowie czy gdzieś na Śląsku, gdzie mu proponowali instytut, się zahaczył, to być może byśmy wylądowali na Śląsku i tata by dalej tam pracował, bo był cenionym pracownikiem. No ale potoczyło się inaczej...

– Czy była pani we Lwowie już po wojnie?

– Byłam, ale króciutko. Wybieraliśmy się rodzinnie nawet, bo był okres kiedy moja rodziną jeździła do Lwowa, ale ja miałam wtedy malutkie dzieci i nie było szans, żeby się wyrwać.

– To wróćmy jeszcze do czasów wcześniejszych. Gdzie zdawała pani maturę?

– Ja zdawałam maturę w Lublinie. Bo była na-przód Gdynia, potem była Łódź, potem był Poznań i potem Lublin, w Lublinie zdałam maturę i w Lublinie studiowałam u profesora Reinfussa.

– Dlaczego wybrała pani etnografię, skąd takie zainteresowanie?

– A to jest ciekawa sprawa, taka dość karkołomna, ale ja nie zamierzam mojego życiorysu publicznie opowiadać. O sprawach zawodowych, w których brałam udział, to tak...

– Kierownikiem katedry etnografii był wówczas prof. Roman Reinfuss⁴. Jak wspomina pani tego słynnego naukowca?

– Nasze studia były specyficzne, ja byłam w drugim roczniku naboru na Uniwersytet Lubelski im. Marii Curie-Skłodowskiej na etnografię. Nas było po kilka osób na roku, pierwszy rok to było sześć osób, mój rok to było pięć dziewczyn, same baby i trzeci rocznik to było też sześć osób. I więcej nie było, bo Uniwersytet doszedł do wniosku, że to im się nie opłaca, nie wiem zresztą. Ja tu trochę żartuję, bo to były bardziej skomplikowane sprawy, ale katedra została zamknięta.

Profesor Reinfuss przede wszystkim gonił nas w teren, bo on nie prowadził katedry kształcącej etnologów teoretyków, tylko etnografów, którzy będą pracować głównie w muzeach polskich i muszą znać realia muzeów etnograficznych. Wtedy zaczęto budować w Polsce skanseny. Profesor miał kontakty z wieloma kolegami, którzy te skanseny zakładali, m.in. ze słynnym, będącym legendą Podkarpacia i Rzeszowszczyzny, Aleksandrem Rybickim, starym partyzantem, który na Syberii spędził kilkanaście lat w gułagu za działalność z czasów wojny, a wtedy był dyrektorem sanockiego skansenu. Oni byli zaprzyjaźnieni i profesor dwie osoby ze swojego drugiego roku, takie dwie dziewczyny, które lubiły teren, nie bały się chodzić po wsi, do Sanoka skierował.

– I tu uprzedziła pani moje pytanie o to, jaki był wpływ prof. Reinfussa na pani późniejszą karierę jako etnografki?





Sądecki Park Etnograficzny, fragment ekspozycji

– Profesor – jak wspomniałam – głównie nas w teren gnał i właśnie w Rzeszowskie, w Gorlickie; on zresztą rodzinie był z Gorlicami związany i łemkami zafascynowany od wczesnej młodości, czasów średniej szkoły i studiów prawniczych, bo on był prawnikiem z pierwszego wykształcenia. I on tymi Karpatami, egzotycznymi trochę, tymi łemkami nas zaraził. A potem on nas, te szesnaście sztuk młodych etnografów, „sprzedawał” kolegom ze skansenów, z muzeów, orientując się mniej więcej, do czego kto się nadaje. Oczywiście pytał nas o zgodę! Profesor był takim autorytetem, że jedna tylko odmówiła, bo wyszła za mąż i mieli wyjeżdżać za granicę... A reszta siedziała na Lubelszczyźnie i tutaj na Podkarpaciu. Moim pierwszym miejscem pracy był Sanok z cudownym Aleksandrem Rybickim. My z Halinką Piasecką zapytałyśmy jak się mamy do niego zwracać: *To co? Tato mamy mówić?* – *Nie, wujku albo dziadku...* – odpowiedział Rybicki.

– **Jeszcze wróć do pani pracy magisterskiej, która dotyczyła rzemiosła łemkowskiego, konkretnie maziarstwa, z którego słynęła wieś Łosie koło Gorlic. Żyli jeszcze prawdziwi maziarze, którzy utrzymywali się z tej profesji?**

– Żyli, żyli, ach znałam ich tylu, ilu tam jeszcze było, znałam. Przegadaliśmy setki godzin. Nauczyli mnie „kropki”⁵ pić. Wie pani co to „kropka”? pani jest rzeszowska, to pani musi wiedzieć?

– **Wiem.**

– A piła pani „kropki”?

– **Nie, nie odważyłam się.**

– A ja byłam ciekawska wszystkiego, na szczęście nie miałam skłonności alkoholicznych, zresztą mój kochany tata, jak zaczęłam w teren jeździć, to mnie uczył, jak bezpiecznie pić alkohol (śmiech) i to mi się udawało. Wie pani, ja jestem taka mikro, niewiele więcej jak metr pięćdziesiąt, byłam takie dziewczątko długo, no i tu chłopcy stawiają kieliszek, a ona chlup! Więc dość to mi otwierało drzwi, męskie drzwi na wsi. Nie miałam nigdy żadnych scysji w terenie. Zawsze było jakieś porozumienie, takie że trafił swój na swego. Z moimi maziarzami, to ach... Z jednej rodziny dziewczyny, już wnuczki

tych maziarzy i prawnuczki „pożenione”, wylądowały w Ameryce i chciały mnie ściągnąć, ale się nie dałam.

– **Maż była wynikiem suchej destylacji odpadów sosnowych. Stała się pani niejako specjalistką od tego rzemiosła, koledzy żartowali, że „utknęła pani w maży”.**

– Tak, tak, tak. To było przeciekawe, pomijając sprawy technologii produkcji, które mnie prawdę mówiąc nie interesowały, przeciekawe były wędrowniki maziarzy i cały bagaż z tym związany mieszania się kultur.

– **Tak, bo oni nie tylko produkowali maż, ale też nią handlowali, rozwozili po całym kraju.**

– W każdym razie to była dla mnie fascynacja. A wie pani co? Profesor Reinfuss był bardzo mądrym nauczycielem młodych ludzi. Był jednocześnie w Krakowie szefem Pracowni Badania Sztuki Ludowej w Instytucie Sztuki Polskiej Akademii Nauk i zbierał materiały na potrzeby Pracowni. Razem jeździliśmy na badania, my jako praktykanci na studiach, potem zatrudniał nas, zarabialiśmy sobie, jeżdżąc na te badania, kto chciał i kto się nadawał. Profesor przygotowywał monografie etnograficzne: gorlicką oraz myślenicką, i do tych monografi sugerował nam opracowanie zagadnienia, które każdemu pasowało, i zadawał je jako pracę semestralną. Jeśli opracowanie rokowało rozwinięcie się w artykuł, to profesor proponował współpracę już na umowę z wydawcą, jako autora danego tematu. I my, że tak powiem szczeniaki, od trzeciego roku studiów do ukończenia i nawet później, mieliśmy drukowane prace. Koledzy z innych uniwersytetów z etnografii wielkie oczy robili, że my mamy publikacje na trzecim, czwartym roku, a niektórzy na drugim. To było ważne dla młodego człowieka, że jego praca do czegoś się przydaje, że to nie jest tylko ćwiczenie, które później idzie do kosza, obojętnie co napiszesz, czy dobrze czy źle. To nas jakoś ustawiało do zawodu, wcześniej, ale poważnie. On dobrze główkował, jak młodzież pokierować, bo niektórzy, może dwie czy trzy osoby, w ogóle nie znosili terenu, ale dla reszty – to było szaleństwo. Dla nas to były wakacje, jeszcze nam płacili – to znaczy zwracali za podróż, jakieś tam diety, bo myśmy jadali u ludzi, u których nocowaliśmy. Katedra nam to załatwiała, oni dostawali pieniądze na noclegi i na żywienie nasze. Tak że nas to nie kosztowało, a chodziło się po górach, po wsiach przepięknych, głównie w Beskidzie Niskim. Kto lubił jeździć w góry, to miał wakacje, przy okazji jeszcze urozmaicone wiedzą od miejscowych ludzi. Mnie się to bardzo podobało.

– **Pracę zawodową rozpoczęła pani w Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku w drugiej połowie lat 60.**

– Poszłam do Sanoka, bo zostałam z koleżanką, w cudzysłowie oczywiście – sprzedana przez profesora Reinfussa Rybickiemu⁶, bo Rybicki dopraszał się o świeży narybek etnograficzny, a Reinfuss miał nas na tacy. Ja ten Beskid Niski lubiłam, te tereny rzeszowskie, zwłaszcza górską część, poznałam już przez wielokrotne wyjazdy badawcze, bo jak powiedziałem profesor gnał nas w teren od pierwszego roku. Wcześniej nas do tego przygotowywał, robił nam próbne wywiady ze sobą jako tępym informatorem (śmiech), także aktorsko był cudny!

– Zastępną tam pani z aranżacji wnętrza chałupy łemkowskiej z Komańczy, na czym polegała jej wyjątkowość, skoro po latach wspominał ją prof. Reinfuss?

– To jest normalnie zrobiona chałupa, tak jak chałupy powinny być w skansenach pokazywane. Ta sytuacja z Komańczą prawdę mówiąc mnie trochę śmieszy i śmieszyła od początku. W latach 70., gdy się skanseny rozwijały w Polsce, rosły jak grzyby po deszczu, każdy region miał ambicję, żeby mieć swój skansen, póki jeszcze coś tam w terenie jest, no i dobrze, bo sporo świetnych zabytków się uratowało. Budownictwo to działka architektów i konserwatorów; wiadomo, to jest w dużej mierze technika, wiedza etnograficzna też jest potrzebna, ale bardziej uzyskana, że tak powiem, od fachowców wiejskich. Ja się tym niezbyt interesowałam, bo jeśli chodzi o sprawy techniczne jestem do niczego. Ja zajmowałam się wnętrzem. Na to jak chałupy wyglądały wewnątrz w poszczególnych okresach – od dymnych najstarszych po różne formy późniejsze – wpływ miał sposób ogrzewania, rozwój systemu piecowego. Inaczej wyglądała chałupa dymna, inaczej już z piecem z kominiem. Mnie to fascynowało, ja to uwielbiałam, myśmy w latach 60. widzieli dymne chałupy czynne, w których żyli ludzie! Na Sądecką przyjechałam w siedemdziesiątym pierwszym i też jeszcze były dymne chałupy. I to nie dlatego, że nie stać było ludzi na zmianę mieszkań. Dzieci oferowały rodzicom wyburzenie starego i wybudowanie nowego domu dla nich, ale oni nie chcieli, i dlatego myśmy mieli szansę widzieć to w terenie.

– Jak pokazać wnętrza w chałupach przeniesionych do skansenu?

– Dla nas to był problem wystawy, bardzo specyficznej, opartej na relacjach, wizualnie utrwalonych na fotografiach i rysunkach śladach tych elementów, które się zachowały. Proszę pani, jakie ja widziałam chałupy... to się w głowie nie mieści! I uznawałam, że w skansenie też trzeba robić realistycznie, nie wybielić izbę z dymnym piecem, jak wszystkie inne, i tylko opowiadać, że tu było czarno, ale trzeba pokazać to czarne, no i tak zaproponowałam. Reinfussowi się oczy zaświeciły, Rybickiemu też i mówi: *Majka, ty byś się tego podjęła?* (Ponieważ ja w dzieciństwie nie mówiłam literą „r”, więc z Marii się przechrzciałam sama na Maję, no i byłam Majka, i tak zostało do dziś, choć „r” wymawiam od dawna.) No i od tego się zaczęło, mnie fascynowało, że na własne oczy dwudziestowieczne można zobaczyć stan z XVIII-XIX wieku i że to trzeba pokazać. Miałam w zespole kolegów, którzy mnie poparli i postanowiliśmy się tym zająć. Henio Olszański – niestety już nieżyjący, cudny chłopak, który zajmował się architekturą, mówi: *masz rację, to trzeba robić autentycznie, dymić normalnie tak jak było*. Ekipę techniczną – robotników mieliśmy świetnych, wiejskich, więc wiedzieli o co chodzi, no i tę pierwszą chałupę eksperymentalnie pozwolono mi zrobić.

– Kolejnym etapem pani pracy był Nowy Sącz i współtworzenie od podstaw tamtejszego skansenu, który w tym roku świętuje jubileusz 50-lecia.

– Na którejś z konferencji organizowanej w naszym skansenie w Sanoku, koledzy z Sącza zapytali mnie, czy bym nie przeszła do nich. Skansen dopiero się szykował, była zgoda władz miasta, był teren wyznaczony, no i chodziło o to, żeby fachowców mieć do roboty. Był już architekt po krakowskiej architekturze, Zygmunt Lewczuk, też taki „waryjot” jak większość z nas w zespole, bo bez odrobiny szaleństwa to się takich rzeczy nie da zrobić. Przyznam się, że miałam wątpliwości, bo akurat w Sanoku mi pozwolili robić to, co najbardziej chciałam. – *No u nas to będziesz robić od początku, nikt ci się nie będzie wtrącał.* – Rozważyłam propozycję i brzydka sprawa, ale przekonała mnie kwestia materialna, mianowicie Sącz dawał mieszkania, a w Sanoku tułałam się po wynajmowanych pokojach. Poza tym w Sanoku było dużo ludzi i prawdę powiedziawszy deptaliśmy sobie po piętach. Myślę sobie – tu już są stare wygi, niech sobie siedzą, ja spróbuję pójść w nowe miejsce. I tak byliśmy z Zygmuntem Lewczukiem, jako dwójka pierwszych etatowców z wyższym wykształceniem, on od architektury, ja od wnętrza i etnografii.



Sądecki Park Etnograficzny, wnętrze jednej z chat

– Co było największym wyzwaniem dla pani jako młodej etnografki?

– Najpierw okazało się, że trzeba kupować eksponaty, to było największe wyzwanie, bo był jeden pług na stałej ekspozycji i jakieś tam elementy stroju... Co chłop akurat przyniósł, to było, a jak chłop nie przyniósł, to nie było. Trzeba było jeździć w teren i szukać tego, co nam jest potrzebne. Przekonałam dyrektora Tadeusza Szczepanka, który wielkie oczy robił, że trzeba zacząć od szukania eksponatów do wnętrza, na początek w tych regionach, gdzie już są chałupy wypatrzone i będą przenoszone. – *Muzeum nie ma samochodu.* – Ja mówię: *a to wynajmując ciężarówkę, ja naprzód pojedę, ponaganiam te eksponaty, po-umawiam się z ludźmi, zrobię spis, mniej więcej cenę, zobaczy pan, ile to będzie kosztować, jak pana będzie stać, to będziemy kupować, i wtedy ciężarówkę, i przywozimy, trzy wsie objedziemy w jeden dzień, przygotowane rzeczy już będą...* No i się zgodził. Zrobiła się sensacja, śmiałam się, bo do mnie dochodziło później, że po mieście mówili, że muzeum przyjęło taką wariatkę, co na wieś



Sądecki Park Etnograficzny, fragment ekspozycji

jeździ stare pługi i brony kupować – bardzo mnie ucieszyło, że miałam taką markę. Ja to tak żartem opowiadam...

– Przeszła pani wszystkie etapy pracy w tym muzeum, by na koniec zostać uznaną gospodynią skansenu, czyli kierownikiem Sądeckiego Parku Etnograficznego. pani koncepcja aranżacji wnętrz i zagród muzealnych typu „muzeum-wieś” stała się wzorem dla innych muzeów na wolnym powietrzu. W sumie ile lat przepracowała pani w Sądeckim Parku Etnograficznym?

– W siedemdziesiątym pierwszym roku przeszłam do Sącza i pracowałam w skansenie do emerytury w 2005 roku. Później przyszli inni koledzy, fajna etnografka Magda Kroh ze wspa-
niałym Antonim, znanym literatem, mimo że historyk i etnograf z wykształcenia, później przyszli Elżbieta i Marian Długoszowie, Zbyszek Wolanin, potem Basia Romańska i inni. Nie wszyscy mieliśmy jednakową wizję skansenu. My z Zygmuntem, przy pomocy profesora Reinfussa, który był – że tak powiem – oficjalnym nadzorcą etnograficznym, naukowym, poszliśmy na autentyzm, a potem były zachwyty, jak to wspa-
niale. Po prostu nie ma innej drogi, żeby to wyglądało dobrze. Teren skansenu mieliśmy doskonały, piękny, na peryferiach z osłoną leśną, z łąkami z unikatową roślinnością, że – powiem brzydko – przyrodnikom szczeka opadała, storczyki jakieś, cuda wianki... firletki poszarpane, piękne to było.

– Z czego jest pani najbardziej dumna, jeśli chodzi o pracę w skansenie?

– Ja w tych kategoriach swej pracy nie traktowałam, ja pracę swoją lubię, mimo że byłam jak to się mówi – „zapaździała” mieszczuch, bo zawsze mieszkałam w dzieciństwie i młodości w dużych miastach, najmniejszy był Lublin, ale też uniwersytecki ośrodek, dwa uniwersytety, tak że nieelegancko mówiąc – nie takie zadupie. Także Rzeszów, który był moim miastem wojewódzkim jak poszłam do pracy do Sanoka, też zaczynał być miastem z charakterem. W Sączu mieliśmy wielkie plany, wiadomo było, które obiekty z jakich regionów w pierwszej kolejności będą wykupywane i przenoszone, a ja miałam się zorientować w możliwościach zakupu eksponatów niezbęd-

nych do wyposażenia. Natomiast jak ja to zrobię, nikt się nie interesował – *to jest etnograf, robi jak uważa*. Mówię to żartobliwie, ale nie było wtedy etnografa w muzeum, ja byłam pierwsza, i dla nich to, że się w ogóle idzie do chałup, że się włązi ludziom na strychy, do piwnic, penetruje się, stawiając wódeczkę jak trzeba, żeby zmieścić gospodarza i się szuka eksponatów, i się pertraktuje ewentualny zakup, to tego nikt nie wiedział w muzeum. Patrzyli na mnie – *jak to włączysz ludziom do domu?* A ja miałam zaprawę w dobrym skansenie w Sanoku. Tam był co prawda inny tryb zarządzania wnętrzem, głównie z zasobów, które były latami zbierane przez muzeum, bo oni zbierali te eksponaty dużo wcześniej, zanim powstał skansen, a Rybicki miał nosa, mimo że medyk a nie etnograf, ani nawet historyk sztuki. No więc tam było inaczej, natomiast ja uznałam, że trzeba po kolei za porządkiem to robić. Jeździłam w teren, rozmawiałam z ludźmi, robiłam wywiady etnograficzne, dyskutowałam z kolegami jak uważają, mówiłam swoje propozycje, jak chałupę odtworzyć, no i organizowałam odpowiednie eksponaty. Ponieważ ja nie mam problemów z rysowaniem, z dokumentacją rysunkową, to tak na brudno sobie rysowałam scenariusze, co powinno być na poszczególnych ścianach; dla mnie to było normalne, ale w Sanoku się tego nie robiło, dopiero ja przy chałupie z Komańczy, bo mnie tak było wygodniej. Wymyśliłam, że jak sobie narysuję rozmieszczenie sprzętów mniej więcej w proporcjach, to będę lepiej wiedziała, czego mi jeszcze brakuje, czego trzeba szukać. A później się okazało, że wszyscy koledzy – *Boże, jak świetnie, scenariusz robisz!* – Drugi taki wariat był w Sierpcu, mój kochany kolega, Tomek Czerwiński, który też się zajmował wnętrzami, byliśmy na konferencjach jako kurioza pokazywani, bo robią scenariusze! Teraz się to robi normalnie, ponieważ jest to element, który bardzo ułatwia pracę. I tak to się zaczęło.

– Wraz z pracą w skansenie i prowadzonymi badaniami naukowymi powstawały liczne publikacje – książki, artykuły, opracowania. Zaczęło się od opublikowania przez Ossoli-
neum w 1983 roku pani pracy magisterskiej „Maziarska wieś łosie”.

– W czasach mojej pracy w skansenie, czyli do emerytury, publikacje główne były poświęcone skansenowi. Braliśmy udział w rozmaitych akcjach wydawniczych, w których koledzy z innych skansenów też uczestniczyli, i publikowaliśmy w biuletynach skansenowskich wydawanych przez Stowarzyszenie Muzeów na Wolnym Powietrzu w Polsce.

– Ale zwieńczeniem pani pracy zawodowej było wielotomowe dzieło poświęcone ubiorom ludowym Małopolski. Publikację wydało Małopolskie Centrum Kultury Sokół w Nowym Sączu, z którą to instytucją współpracuje pani od lat. Jak przebiegała praca nad tym potężnym opracowaniem. Ile osób było zaangażowanych w tę publikację?

– To już jest inny etap mojego życia etnograficznego, mojej działalności w zawodzie. W czasie kiedy jeszcze pracowałam w muzeum, prof. Reinfuss razem z Antonim Malczakiem, dyrektorem Małopolskiego Centrum Kultury, obecnie to się Sokół nazywa, zaproponowali organizację seminariów badawczych dla instruktorów i chętnych członków zespołów regionalnych z Sądecczyny. Ponieważ tutaj ruch ten jest bardzo intensywny, jest mnóstwo zespołów i są ludzie, którzy chcą je fa-

chowo prowadzić, bardzo się interesują folklorem i chcą wiedzę swoją rozszerzać na ten temat, więc taka potrzeba była. My z Magdą Kroh zostaliśmy do tego zaangażowani jako wykładowcy. Magda specjalizowała się w zwyczajach dorocznych i rodzinnych na Sądecczyźnie, ona wcześniej też na Podhalu pracowała, więc góralszczyznę znała też dobrze, a ja głównie strój. Mnie zawsze strój ludowy interesował, tym bardziej, że na Sądecczyźnie on jest wybitnie efektowny, zwłaszcza u Lachów. Każdy strój: i góralski, i lachowski, i pogórzański, i łemkowski, wszystkie są naprawdę swoiste, a już lachowski – Lachów Sądeckich to jest cud świata! Ja wcześniej się tym interesowałam o tyle o ile zahaczało to o pracę w skansenie; strój pokazywany był w aranżacjach na manekinach, na wystawach, np. weselnej itd. Zaproponowano mi prowadzenie zajęć o strojach ludowych i sprawy związane z badaniami, czyli kuchnię badań etnograficznych, i tak w ten strój wpadłam. Jak już byłam na emeryturze, to mi dyrektor Sokół, z którym się bardzo zaprzyjaźniliśmy, nawet proponował etat, niestety ze względów rodzinnych zrezygnowałam, ale te warsztaty prowadziłam i wtedy się wdrożyłam jako etnograf w ten strój szczególnie. Sokół organizował wydawnictwa i co rusz – *przygotowujemy się do takiej publikacji, ty piszesz o stroju*. Oczywiście w Muzeum też trochę pisałam, np. przy okazji organizacji Muzeum Lachów Sądeckich w Podegrodziu, które jest teraz naszym oddziałem, ale właściwie strojem zajmę się na emeryturze. Tych publikacji było sporo, w międzyczasie dostałyśmy z Magdą i jeszcze z innymi kolegami propozycje udziału w kolejnych tomach monografii dotyczących poszczególnych grup górskich Karpat. To był cykl etnograficzny krakowskiego wydawnictwa turystycznego. Potem były zamierzenia dotyczące Lachów, no ale nie mają pieniędzy, jak wszędzie, na kulturę.

Natomiast to ostatnie nasze wydawnictwo zaczął jeszcze Antoni Malczak, miały to być po prostu monografie o strojach wszystkich grup Małopolski; zaproponowałam tytuł: *Krakoviacy, Lachy, Górale*. Dyrektor Malczak poprosił mnie, abym była redaktorem etnograficznym całej serii, no i sama napisała, co chcę. Zrobiliśmy dziesięć tomów, pozbieraliśmy kolegów, świetny był zespół w Sokole. W międzyczasie zmieni-

ła się dyrekcja, ale nie zmieniła naszych planów, popierała je i jakoś udało się to wydać. Słyszała pani o tym, widziała to wydawnictwo?

– **Ja je mam, podarowała mi pani w 2021 roku w Warszawie, gdy odbierałyśmy obie nagrody im Oskara Kolberga. Niesamowicie piękne dzieło.**

– Jest to, myślę, pożyteczna praca, teraz co prawda widzę... co mogło być lepiej. No ale przede wszystkim staraliśmy się proponować poszczególne artykuły kolegom z dużym doświadczeniem, którzy znają region od podszewki, pracują w muzeach od lat. Ja miałam redakcję wszystkich tomów, szczegółową redakcję wielu artykułów i własne cztery artykuły. Jestem zadowolona, że się w końcu ukazało, bo przyznam się, bałam się, czy podołam...

– **Na koniec naszej rozmowy zapytam o to, jakie uczucie towarzyszyło pani wówczas, gdy na zamku królewskim w Warszawie odbierała pani prestiżową nagrodę im. Oskara Kolberga za swoją wieloletnią pracę naukową, dokumentacyjną i w dziedzinie upowszechniania kultury ludowej?**

– Trochę zażenowanie, bo dlaczego z naszego muzeum akurat ja? Inni koledzy też mają zasługi, choćby Magda Kroh, myśmy mniej więcej tyle samo pracowały w skansenie, no ja troszkę dłużej, ale ona w niektórych sprawach intensywniej. Ta nagroda to dla mnie było zaskoczenie, natomiast jeszcze pani powiem, że ja od lat mam kontakty z wieloma środowiskami z naszego regionu, z Sądecczyzny, głównie z zespołami regionalnymi i małymi muzeami, ja z nimi stale współpracuję, oni mnie znają jako panią profesor z tych studiów folklorystycznych, które Sokół prowadził. I oni mnie pamiętają, mam mnóstwo zaprzyjaźnionych osób, tak że myślę, że ta moja jakby popularność wynika z tych wieloletnich kontaktów, bo przecież ja 50 lat w tym środowisku pracuję. Nie wiem, kiedy to tak szybko uciekło...

– **Dziękuję serdecznie pani za rozmowę i życzę dużo zdrowia.**

Rozmawiała Jolanta Danak-Gajda ■

Przypisy

1. Prof. Rudolf Weigl – polski biolog pochodzenia austriackiego, wynalazca pierwszej na świecie skutecznej szczepionki przeciw tyfusowi plamistemu, prekursor zastosowania owadów, głównie wszy odzieżowej, jako zwierzęcia laboratoryjnego do hodowli bakterii wywołującej tyfus. W okresie wojny w swoim Instytucie we Lwowie uratował ok. 5 tysięcy osób: przedstawicieli lwowskiego środowiska naukowego (m.in. żydowskich naukowców), młodzieży akademickiej i gimnazjalnej, bojowników ruchu oporu (https://pl.wikipedia.org/wiki/Rudolf_Weigl).
2. Polmin – Państwowa Fabryka Olejów Mineralnych była największą polską firmą naftową w okresie międzywojennym. Powstała na początku XX wieku na bazie rafinerii w Drohobycz. W 1927 roku została znacjonalizowana, produkowała benzynę, naftę, różnego rodzaju oleje i smary, a także parafinę i asfalt. W latach 30. drohobycka rafineria zatrudniała 3 tysiące pracowników i należała do jednych z największych w Europie (<https://en.wikipedia.org/wiki/Polmin>).
3. CPN – Centrala Produktów Naftowych powstała w lipcu 1944 roku. Przez dziesięciolecie zajmowała się m.in. magazynowaniem, transportem i dystrybucją przede wszystkim paliw płynnych. Na przełomie XX i XXI wieku po połączeniu CPN z rafinerią w Płocku powstał

koncern naftowy o nazwie handlowej Orlen (https://pl.wikipedia.org/wiki/Centrala_Produkt%C3%B3w_Naftowych).

4. Roman Reinfuss (ur. 27 maja 1910 w Przeworsku, zm. 26 września 1998 w Krzywaczce) – etnograf, znawca polskiej sztuki ludowej i etnografii Karpat. Pracownik akademicki UMCS w Lublinie (1944–1946[a], 1957–1967), Uniwersytecie Wrocławskim (1946–1949), Uniwersytecie Jagiellońskim i krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, w latach 1946–1980 kierownik Pracowni Sztuki Ludowej w Instytucie Sztuki Polskiej Akademii Nauk (https://pl.wikipedia.org/wiki/Roman_Reinfuss).
5. Kropka – to eter, taki sam jakiego używano do narkozy, kultowy napój odurzający na Łemkowszczyźnie, pije się go po odrobinie, stąd nazwa kropka.
6. Aleksander Rybicki, ps. „Korczak”, „Spytek”, „Jacek”, „Dziurdziejewicz”, „Sienkiewicz”, „ks. Jacek Żegota” (ur. 27 września 1904 w Przemyśle, zm. 14 października 1983 w Rzeszowie) – polski muzealnik, kolekcjoner dzieł sztuki, opiekun zabytków, współorganizator i kustosz Muzeum Ziemi Sanockiej, inicjator, twórca i pierwszy dyrektor Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku. Podczas II wojny światowej oficer Związku Walki Zbrojnej i Armii Krajowej, kurier oraz organizator tras kurierskich i przerzutów transgranicznych, po wojnie więzień sowieckich łagrów.

Dwie cerkwie w Ustianowej, jedna kaplica i jeden kościół

Między Górami Słonnymi a Bieszczadami

Ustianowa to kolejna bieszczadzka wieś o średniowiecznym rodowodzie, która zadziwia nas swoją historią. W swoich ponad pięćsetletnich dziejach zaistniała z dwóch cerkwi o tym samym wezwaniu św. Paraskewy Tyrnowskiej, lotniska szybowcowego na grzbiecie Żukowa znanego na całą Polskę, a także kombinatu drzewnego o największym przetwórstwie drewna dostarczanego z Bieszczadów, z którego był dumny PRL od lat 70. XX wieku.

Pierwsze wzmianki dotyczące wsi Ustianowa sięgają końca XV wieku, gdy była własnością rodu Kmitów. Wymieniona została w 1892 roku w „Słowniku Geograficznym Królestwa Polskiego”, gdzie opisano ją jako miejscowość złożoną z dwóch wsi graniczących ze sobą, *Ustianowej Górnej i Dolnej*.¹ Zaznaczono, że obie części tej sporej wsi stanowią jedną gminę, położoną przy gościńcu i kolei państwowej, między stacjami Ustrzyki i Olszanica. W końcu XIX stulecia wieś ustianowska otoczona była zaludnionymi miejscowościami, wśród których „Słownik Geograficzny” wymienia od wschodu obszar Ustrzyk Dolnych i Równi, od zachodu – Stefkową, od północy – Strwiążyk, a od południa z Łobozew. Ponadto odnotowano jej położenie, wskazując że: „*Dolina wsi zamknięta jest od północy działem leśnym zwanym Karolik Mały, od południa działem ze szczytem Kotyca*”². Zarówno dawniej jak i dziś wskazuje się, że tu biegnie główny wododział europejski rozdzielający zlewnie wód płynących do Morza Czarnego i Bałtyku³.

Warto te dziewiętnastowieczne wiadomości skonfrontować ze współczesnymi informacjami, w świetle których najważniejszą jest położenie Ustianowej „na trasie wielkiej obwodnicy bieszczadzkiej, tuż przed Ustrzykami Dolnymi (od strony Leska), pomiędzy pasmem Żukowa a szczytami Małego Króla (642 m n.p.m.), Wielkiego Króla (732 m n.p.m.) i Berda (728 m n.p.m.). Turystycznie zaliczana do Bieszczadów, jednak geograficznie Ustianowa położona jest w Górach Sanocko-Turczańskich”⁴. W świetle mapy Parku Krajobrazowego Gór Słonnych wieś Ustianowa leży poza granicami w/w Parku⁵. Zatem jest to wieś zarówno bieszczadzka, jak i przynależna położeniem do Gór Sanocko-Turczańskich, m.in.: tym za sprawą długiego grzbiecia Żukowa⁶.

Burzliwe dzieje

Założona została na prawie włoskim w dobrach Kmitów jeszcze przed 1489 r., a „Przewodnik dla prawdziwego turysty” informuje, że „nazwa miejscowości prawdopodobnie

pochodzi od węgierskiego słowa *Istvan*”⁷. Ponadto – zawarta jest tu informacja o tym, że w 1520 roku Zygmunt Stary nadał przywilej pobierania myta w Ustianowej na rzecz reperacji dróg, wytyczania ich oraz dobrego utrzymania, a także budowy mostów. Stworzyło to tym samym dobre warunki do handlu. Sprzyjało temu też położenie wsi przy drodze z Sanoka do Sambora, zwanej „via publica”. Droga ta była powszechnie znana, gdyż przede wszystkim łączyła Kraków z Sanokiem, Samborem i Lwowem. Wieś musiała się dobrze rozwijać, bo w 1526 roku znajdowała się tu cerkiew parafialna⁸. Zapewne nie przetrwała, gdyż nie zachowało się wyposażenie o renesansowej metryce. Pamiętać należy, że epoka nowożytna to czas najazdów i grabieży, które były dotkliwe i wyniszczające ludność.

Na internetowej stronie „Twoje Bieszczady” zapisano: *W roku 1672, podczas ostatniego już najazdu czambułów tatarskich Nuradyn-Soltana na Bieszczady we wsi ocalało tylko 5 domów, ordyńcy ograbili i spalili wieś a mieszkańców uprowadzili na wschód do niewoli. Była to nadal własność Herburów*. Informacja ta jest ważna dla dziedzictwa kulturowego, gdyż zachowały się ikony stanowiące wyposażenie cerkwi w Ustianowej, datowane na 1698 r. Wyposażenie to znajduje się dziś w Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku, dokąd zostało przeniesione w latach 50. XX wieku. Przykładem tego ludowego, karpackiego baroku z końca XVII wieku mogą być dwie ikony: *Deesis* (150 × 125 cm) i *Śś. Bazyli Wielki, Jan Złotousty i Grzegorz z Nazjanzu* (85,5 × 89,5 cm). Obie ikony są opublikowane w albumie poświęconym najpiękniejszym ikonom w zbiorach polskich⁹. Zatem analizując fakty, kolejna cerkiew w Ustianowej powstała pod koniec XVII stulecia, pomiędzy 1672 rokiem, na który jest datowany ostatni najazd tatarski na Ustianową, a 1698 rokiem, w którym ufundowano w/w ikony znajdujące się w zbiorach MBL w Sanoku. Nowa, barokowa cerkiew z końca XVII wieku zapewne powstała w tej części wsi, którą będzie się określać w sto lat później jako Ustianowa Górna.

Ustianowa – dwie wsie i dwie cerkwie, ale wezwanie to samo

Nieocenione w swej dokładności mapy Miegi pokazuje, że pod koniec XVIII wieku istniała już Ustianowa podzielona administracyjnie na dwie części: Ustianową Górną i Ustianową Dolną, zaś w każdej z nich znajdowała się drewniana cerkiew pod tym samym wezwaniem Św. Pa-

raskewy. Różnica polegała na tym, że w Ustianowej Górnej była cerkiew parafialna, a w Ustianowej Dolnej – cerkiew filialna. Obie cerkwie były wzniesione z drewna i były do siebie dość podobne, a ich architektura ukształtowana była pod wpływami latynizacji.

Zrąb ścian cerkwi posadowiony był na podwalinie, zwykle wykonanej z dębowego lub modrzewiowego drewna, odpornego na wilgoć. Tram był z reguły szerszy i większy od belek użytych do kształtowania zrębu. To właśnie tu, w cerkwi w Ustianowej, zachował się prastary zwyczaj podkładania monet pomiędzy podwalinę a zrąb ścian. Miało to miejsce zwykle w czasie budowy lub remontów i zwyczaj ten dotyczył naroży cerkiewnych budowli. Jak pisze Ryszard Brykowski – *takie znaleziska były bezcenne ze względu na datowanie budowli; odnajdywane były w czasie kompleksowych remontów budowli (jak na przykład w cerkwi w Ustianowej)*¹⁰. Zwyczaj ten wiąże cerkiew w Ustianowej z końcem XVIII stulecia. Poparte jest to napisem na belce tęczowej „Anno Domini 1792”¹¹. Ta pozioma belka, zwykle opracowana dekoracyjnie i z zapisaną datą budowy świątyni, umieszczana była w otworze tęczowym, na którym ustawiono krucyfiks wraz rzeźbionymi postaciami Matki Bożej Bolesnej i św. Jana. Data widniejąca na belce tęczowej wydaje się być prawdziwa, gdyż od 2 poł. XVIII wieku, aż do dwóch pierwszych tercji następnego stulecia, powszechnym zjawiskiem było kształtowanie brył cerkiewnych na podobieństwo kościołów rzymskokatolickich¹².

Latynizacja – nakazana praktyka w czasach józefińskich

Zjawisko latynizacji, które wcześniej nie miało cech programowego, świadomego kształtowania w architekturze cerkiewnej, na przełomie XVIII/XIX stulecia często występowało w bieszczadzkich cerkwiach. Dość powiedzieć, że obie cerkwie w Ustianowej Górnej i Dolnej podlegały także rozpowszechnionej praktyce latynizacji drewnianych cerkwi ruskich. Zdaniem profesora R. Brykowskiego, wzmożona latynizacja w zaborze austriackim jest tłumaczona tym, że rząd propagował i naciskał na upowszechnienie zasad józefinizmu¹³. Zjawiska te nie miały programowego umocowania, ani osadzenia w lokalnych zwyczajach ciesielskich, lecz były jednak praktyką powszechnie stosowaną od ostatniej ćwierci XVIII wieku przez blisko 100 lat, aż do 3 ćw. XIX wieku. R. Brykowski przywołuje przykłady planów budownictwa cerkiewnego, wskazując na różnorodne rzuty poziome zastosowane w budo-

wie świątyń w obrządku greckokatolickim, które zostały odzwierciedlone w praktyce budowlanej, m.in.: dwudzielne (cerkiew w Leszczawie Górnej 1784 r.), tradycyjne plany trójdzielne, lecz kryte dachami dwuspadowymi jednokalenicowymi (cerkiew w Serednicy 1785 r.), dwukalenicowymi (cerkiew w Łodzinie 1743 r.), czy trójkalenicowymi (cerkiew w Ustianowej Górnej 1792 r.). Na kalenicach nad nawą stosowano wieżyczki z sygnaturką podobne do stosowanych w łacińskiej architekturze kościelnej. Także zróżnicowanie wnętrza ma tu znaczenie. Obserwacja bryły zewnętrznej sugeruje nam wnętrze jednoprzestrzenne, zaś w rzeczywistości widzimy, że wewnętrznie jest ono podzielone na dwie lub trzy części – jak zaznaczył R. Brykowski. Dodał też, że: „*Latynizujący charakter budowli podkreśla jednakowa wysokość ścian poszczególnych członów cerkwi, w wypadku gdy w bryle podział ten*



Cerkiew w Czarnej Górnej, widok ogólny z kaplicą grobową Szemelowskich i dzwonnica, fot. Stanisław Kryciński

zostanie uwidoczniony. Znaczna część tych świątyń będzie miała bez względu na rodzaj planu, prezbiteria zamknięte trójbocznie z równocześnie z nimi zbudowaną czworoboczną zakrystią od północy. Od zachodu przy korpusie wielu z nich pojawią się integralnie z nimi związane wieże dzwonnice (...), o różnych formach hełmów, które upodabniają te cerkwie jeszcze bardziej do kościołów łacińskich.”¹⁴ Cechy te są widoczne w obu cerkwiach pw. św. Paraskewy w Ustianowej Górnej i Dolnej.

Dwie cerkwie w Ustianowej i ich odmienne losy

Cerkiew w Ustianowej Górnej, która była wzniesiona w 1792 roku, poddano remontowi w 1880 roku¹⁵. Następnie cerkiew została odnowiona i rozbudowana o zachodni przedsionek w 1892 roku. W kolejnych latach świątynia była użytkowana przez wiernych obrządku greckokatolic-



Ustianowa Górna - widok od strony zachodniej, fot. J. Jawczak, maj 1962, arch. WUOZ Krosno

kiego jako cerkiew parafialna aż do 1951 roku¹⁶. Opuszczona cerkiew niszczała, a w kolejnych latach wywieziono całe wyposażenie do składnicy i pozostało tam do czasu włączenia jej do zbiorów późniejszego Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku. Zamknięta na głucho, z trudem przetrwała niełatwe lata połowy XX wieku. Pomimo starań ludności, nie pozwolono na przywrócenie kultu religijnego.

W międzyczasie, na podstawie Rozporządzenia Prezydium WRN w Rzeszowie z dnia 10 IV 1953 r. doszło do podziału gromady Ustianowa na dwie odrębne gromady z siedzibą sołtysa w każdej z nich. I tak, w gminie administracyjnej Łobozew powiatu ustrzyckiego wyłączono część gromady Ustianowa (wschodnia) i utworzono z niej

gromadę Ustianowa Górna. Konsekwentnie – z wyłączonej części gromady Ustianowa (zachodnia) utworzono gromadę Ustianowa Dolna¹⁷.

Wraz z podziałem Ustianowej na dwie gromady, rozebrano cerkiew filialną w zachodniej części czyli Ustianowej Dolnej. Cerkiew ta miała skromną, drewnianą architekturę latynizującą. Wzniesiona była na wydłużonym planie o kształcie prostokąta, przekryta gontowym kalenicowym dachem z makowicą pośrodku, ściany szalowane pionowymi deskami; napawała smutkiem.

Tak też – smutno – zakończył się jej los w 1953 roku. Pozostawiono jedynie cerkiew parafialną w części wschodniej czyli w Ustianowej Górnej. Opuszczona cerkiew nie była w dalszym ciągu użytkowana, pomimo że sukcesywnie, aż do 1962 r. starano się o jej odzyskanie. Zachowało się zdjęcie dokumentalne z 1962 roku, wykonane w maju przez J. Jawczaka, które ukazuje zdewastowany stan cerkwi w Ustianowej Górnej. W świetle tego zdjęcia była to cerkiew orientowana, wzniesiona w kon-

strukcji na obłap, posadowiona na kamiennej podmurówce, trójdzielna, w części wschodniej zamknięta trójbocznie. Przekryta dachem dwuspadowym na trzech kalenicach, z wieżyczką na sygnaturkę pośrodku kalenicy nad nawą, zaś na krańcach kalenicy usytuowane były niewielkie makowice.

W związku z kolejną odmową władz, ostatecznie w 1963 roku rozpoczęto odprawiać nabożeństwa w Kaplicy grobowej Szemelowskich, byłych właścicieli wsi. Wyżej opisany bezwład decyzyjny skutkował tym, że w przeciągu dekad cerkiew utraciła podłogi, stropy, okna i takim destruktem architektonicznym zainteresowali się zwierzchnicy kościoła rzymskokatolickiego, przejmując obiekt i ratując go od całkowitego unicestwienia.

Ostatnie lata funkcjonowania województwa rzeszowskiego (1973-1974) przyniosły kapitalny remont byłej cerkwi i przystosowanie jej do funkcji sakralnej kościoła rzymskokatolickiego¹⁸. Wiązało się to z wymianą 70% zdegradowanej, oryginalnej substancji drewnianej. Doposażono wnętrze rokokowym ołtarzem z kościoła w Hoczwi, do którego przeniesiono go z cerkwi w Stężnicy (?), kopalnicą kamienną, datowaną na 1862 rok i innymi artefaktami¹⁹. W kolejnych latach obito wnętrze świątyni bo-



Cerkiew w Ustianowej, belka stropowa z wyciętą datą budowy – 1792

azeryą i nie miało to już żadnego znaczenia, czy cerkiew jest pozornie jednorodna, z możliwością dopatrzeń się w jej wnętrzu podziału na dwie czy trzy części – jak wskazywał w swym opisie latynizacji bieszczadzkich cerkwi Ryszard Brykowski. Reasumując – modernizacja ostatniej ćwierci XX wieku zatarta całkowicie charakter pierwotnego, zabytkowego wnętrza cerkiewnego, nadając przestrzeni kościelnej czysto użytkowy charakter. U progu XXI wieku obiekt przeszedł kolejne renowacje, a otoczenie uporządkowano i zrewaloryzowano. Kościół do dziś służy wier- nym obrządku rzymskokatolickiego pw. Narodzenia Najświętszej Maryi Panny.

Ostatni akord – kaplica grobowa Szemelowskich

Zapewne smutna to opowieść, ale niestety prawdziwa. Ta murowana, neogotycka budowla sepulkralna rodu Szemelowskich, usytuowana w zachodniej części przycerkiewnego cmentarza i częściowo widoczna z szosy, miała zachować pamięć i prochy dawnych dziedziców wsi. Wzniesiono ją ok. 1890 roku staraniem Juliana Szemelowskiego i dziś jest jedynym śladem materialnym, który pozostał po ówczesnych właścicielach na terenie wsi Ustianowa. *Spoczywają w niej szczątki fundatora, jego żony Heleny z Polakowskich, syna Władysława, zięcia Kazimierza hr. Russockiego i pochowanej w 1939 roku Zofii hr. Lasockiej. W latach 50. XX wieku kaplica została zdewastowana, a trumny wyrzucone z krypty.*²⁰

Jerzy Piórecki pisząc o ogrodach, które zostały zniszczone w stuleciu pomiędzy 2. poł. XIX w. a 2. poł. XX w.,



Cerkiew w Ustjanowej, widok obecny od strony północnej, fot. Adam Szary

napisał: *W dolinie rzeki Strwiąż, na jej płaskim terenie, pozostały jeszcze ślady założenia dworsko-ogrodowego. Dwór i folwark nie ocalały. Z dworu pozostały ślady murów w przyziemiu i część schodów. Wszystko to pokrywają dziś gęste zarośla*²¹. We wspomnieniach M. Dziurzyńskiej, opublikowanych w 1997 roku w „Bieszczadzie” czytamy: *Hrabia Zygmunt Lasocki był w okresie międzywojennym Ministrem Pełnomocnym Rządu RP w Pradze, żonaty z Zofią z Szemelowskich, właścicielką dóbr Stefkowa. Jego siostra, hrabina Jadwiga Russocka – córka Juliana Szemelowskiego, była właścicielką majątku Ustianowa.*²² Kaplica rodowa została przekazana przez spadkobierczynię Jadwigę Dunin dla lokalnej społeczności w celu sprawowania funkcji liturgicznych w jej wnętrzu w 1963 roku²³.

Przypisy

1. Ustyanowa Górna i Dolna, [w:] „Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego”, t. XII: Szlurpki – Warłyka, Warszawa 1892, s. 848.
2. Dz. cyt., s. 848 [http://dir.icm.edu.pl/pl/Sownik_geograficzny/Tom_XII/848; dostęp 12.03.2025 r.]
3. P. Luboński (red.), *Bieszczady. Przewodnik dla prawdziwego turysty*, Pruszków 2017, s. 381.
4. https://www.twojebieszczady.net/sor/ustianowa.php [dostęp 16.03.2025].
5. S. Bańcarz (red.), *Parki Krajobrazowe Pogórza Przemyskiego i Gór Słonnych*, Przemyśl 2003, s. 6 (mapa).
6. Z. Maj, *Bieszczadzka odyseja. Wspomnienia moich rodziców*, Rzeszów 2024, s. 35.
7. P. Luboński (red.), *Bieszczady...*, dz. cyt., s. 380.
8. Dz. cyt., s. 381.
9. J. Kułakowska-Lis (red.), *Ikony. Najpiękniejsze ikony w zbiorach polskich*, Olszanica 2008, s. 41, 120.
10. R. Brykowski, *Drewniana architektura cerkiewna na koronnych ziemiach Rzeczypospolitej*, Warszawa 1995, s. 35.
11. J. Sołek (red.), *Szlak Architektury drewnianej. Podkarpackie*, Rzeszów 2012, s. 115.
12. R. Brykowski, *Drewniana architektura cerkiewna...* dz. cyt., s. 96.
13. Dz. cyt., s. 97.
14. Dz. cyt., s. 96.
15. S. Kryciński, *Cerkwie w Bieszczadach*, Pruszków 1995, s. 175, il. 158.
16. K. Zieliński (red.), *Leksykon drewnianej architektury sakralnej Podkarpacia*, T. II, Rzeszów 2011, s. 123.
17. Dziennik Urzędowy Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie. 1953, nr 5 (30.05), poz. 33.
18. R. Bańkosz, *Cerkwie bieszczadzkie Bojków*, Krosno 2010, s. 81.
19. S. Kryciński, *Cerkwie w Bieszczadach...*, dz. cyt., s. 175, il. 158.
20. R. Bańkosz, *Cerkwie bieszczadzkie Bojków* dz. cyt., s. 82.
21. J. Piórecki, *Ogrody i parki województwa krośnieńskiego*, Bolestraszyce 1998, s. 300.
22. Dz. cyt., s. 301, przyp. 152.
23. R. Bańkosz, *Cerkwie bieszczadzkie Bojków*, dz. cyt., s. 82-83.

Z przeszłości wsi Caryńskie

W Caryńskim przed wybuchem II wojny światowej zamieszkiwało około pół tysiąca osób. Współcześnie piękna choć niemal zupełnie pusta dolina, z wybudowanym w latach 70. XX wieku schroniskiem przyciąga turystów, ale trudno oprzeć się wrażeniu, że jej dzieje nie są zbyt znane wśród odwiedzających to miejsce.

Bieszczadzcy ziemianie

Caryńskie powstało stosunkowo późno. Pierwsza wzmianka o tej miejscowości w źródłach historycznych pochodzi dopiero z 1620 roku. Pod koniec XVIII wieku wieś stanowiła część rozległych dóbr leskich należących w tym czasie do Ossolińskich i Mniszchów. Następne stulecie cechowało się pewną dynamiką jeśli chodzi o zmiany kolejnych właścicieli. Okres ten jest chyba najślabiej znany wśród miłośników historii Bieszczadów. Niewiele informacji odnaleźć można o ludziach, do których w XIX wieku i w początkach wieku XX należały bieszczadzkie majątki ziemskie. Życiorysy tych ziemian, nierzadko bardzo interesujące pozostają zupełnie nieznane miłośnikom historii naszego regionu. Można powiedzieć, że mamy do czynienia niemalże z białą plamą w dziejach Bieszczadów. Warto moim zdaniem zwrócić większą uwagę na ten aspekt przeszłości regionu. O tym, że zagadnienie to może być interesujące świadczy choćby przykład miejscowości Caryńskie. Oczywiście zaznaczyć tu trzeba, że właściciele tutejszego majątku nie mieszkali tu na stałe, a także rzadko odwiedzali swoje bieszczadzkie dobra. W Caryńskim zresztą nie było zabudowań dworskich. Warto jednak przypomnieć sylwetki przynajmniej niektórych właścicieli tych dóbr.

Starosta Antoni Pogłódowski

Caryńskie w 1881 roku, razem ze Smolnikiem, Berehami Górnymi i Nasiecznem stało się własnością spółki Józefa i Jakuba Kohnów z Wszetyna na Morawach. Przejęli oni wymieniony klucz dóbr po tym jak dotychczasowa właścicielka – Wiktoria Wizyta nie była w stanie spłacić zaciągniętej u nich pożyczki, która miała zostać zainwestowana w budowę parowego tartaku w Smolniku. Po upływie kolejnych trzynastu lat klucz dóbr złożony z Caryńskiego, Nasiecznego i Berehów nabył Antoni Pogłódowski (1858-1922), galicyjski urzędnik pracujący wówczas w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych w Wiedniu.

Swoją karierę urzędniczą rozpoczął około 1880 roku w galicyjskim Namiestnictwie. W późniejszym okresie pracował w starostwach jarosławskim i bocheńskim, a następnie powierzono mu rząd starosty powiatu brze-



Antoni
Pogłódowski
(1858-1922)
[Wikipedia]

skiego. Z Brzeska na krótko trafił na to samo stanowisko w Chrzanowie i wreszcie w 1899 roku objął starostwo sanockie. W mieście nad Sanem spędził dwanaście lat. Zastąpił tutaj z działalności społecznej – m.in. przez pięć lat był prezesem Towarzystwa Upiększania Miasta Sanoka. W 1911 roku został przeniesiony na stanowisko starosty wadowickiego, a urząd ten sprawował do końca I wojny światowej. Zanim to jednak nastąpiło, Antoni Pogłódowski sprzedał majątek w Caryńskim, Berehach i Nasiecznem Teodorowi Alfredowi Serwatowskiemu (1837-1918). Transakcja mogła wynikać z jakichś rozliczeń rodzinnych, gdyż matka nowego właściciela pochodziła z rodziny Pogłódowskich.

Komandor papieskiego orderu

Chociaż Teodor Alfred Serwatowski przyszedł na świat w Odessie, niemal całe życie związany był z zaborem austriackim. Po ukończeniu szkoły średniej w Krakowie, studiował na Akademii Inżynierskiej w Wiedniu. Służył w wojsku austriackim, ale wystąpił z armii po kampanii włoskiej z 1859 roku. Od tego czasu angażował się w rozwój i uprzemysłowienie rodzinnego majątku w Bucniowie na Tarnopolszczyźnie. Za jego sprawą powstały m.in. nowoczesny młyn, gorzelnia i miodosytnia. Serwatowski słynął również jako hodowca koni arabskich. Dzięki udanym inwestycjom zdołał zakupić nowe majątki – w tym wspomniany wyżej klucz położony w Bieszczadach. Właściciel Caryńskiego z przyległościami udzielał się również na niwie społecznej, a w latach 1886-1888 zasiadał w austriackiej Radzie Państwa. Zrzekł się jednak mandatu. Za zasługi wyświadczone Kościołowi został odznaczony przez papieża Leona XIII Komandorią Orderu św. Grzegorza. Teodor Serwatowski poślubił Stefanię Kruszewską. Małżeństwo miało czwórkę dzieci, ale jedynie Władysław Józef oraz Felicja przeżyli swoich rodziców.

Następne pokolenie

Teodor Serwatowski zmarł w 1918 roku we Lwowie. Scheda po nim, w tym klucz dóbr w Bieszczadach została podzielona między jego dzieci. Syn – Władysław Józef (1873-1940) otrzymał Berehy Górne i Nasiczne, a córce Felicji przypadł w udziale majątek w Caryńskim. Obejmował on głównie lasy oraz połoniny – w sumie około 700 ha ziemi. Ponadto Felicja z Serwatowskich stała się właścicielką dóbr Korczmin koło Uhnowa oraz Rajtarowice na Samborszczyźnie. Jeszcze w czasach Teodora Serwatowskiego, bieszczadzki majątkami leśnymi administrował Franciszek Hankus, pochodzący z Bujakowa pod Oświęcimiem, który kontynuował swoje usługi pracując dla Władysława Serwatowskiego.

Władysław Józef Serwatowski jak wielu ziemian odebrał staranne wykształcenie. Studiował prawo oraz nauki rolnicze we Lwowie i Wiedniu. Już we wczesnej młodości nabierał doświadczenia w zarządzaniu majątkami ziemskimi należącymi do jego ojca. Z czasem rozpoczął również karierę polityczną i w latach 1911–1918 pełnił mandat posła do austriackiego parlamentu. Po rozpadzie Austro-Węgier znalazł się w składzie Polskiej Komisji Likwidacyjnej w Krakowie, a następnie brał udział w Walkach o Lwów. Nie wziął udziału w wyborach do Sejmu I kadencji uzasadniając to przekonaniem, że w parlamencie powinni znaleźć się ludzie młodszy od niego. W 1921 roku został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Polonia Restituta. Wśród licznych podejmowanych przez Serwatowskiego inicjatyw warto wspomnieć o Polsko-Amerykańskim Syndykacie Kolonizacyjnym w Peru. Przedsięwzięcie, którego był założycielem wraz z innymi ziemianami spaliło jednak na panewce.

Serwatowski pozostawał właścicielem dóbr Berehy Górne oraz Nasiczne przez cały okres międzywojenny. Na stałe mieszkał we Lwowie i raczej rzadko odwiedzał swoje górskie majątki. Jednakże w 1935 roku doprowadził do powstania spółki z ograniczoną odpowiedzialnością o nazwie „Bieszczady”, która powołana została do prowadzenia eksploatacji lasów w wymienionych wyżej dobrach.

W kwietniu 1940 roku został aresztowany przez NKWD i zamordowany. Jego nazwisko znajduje się na tzw. Ukraińskiej Liście Katyńskiej. Żonę Władysława Serwatowskiego wywieziono do Kazachstanu, gdzie zmarła.

Przyjaciel Reymonta i Malczewskiego

Felicja Serwatowska (1888-1981) w 1912 roku poślubiła Jerzego Dzieduszyckiego (1885-1922) – prawnika, kolekcjonera i bibliofila, który po odzyskaniu przez Polskę niepodległości podjął pracę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. W kręgu jego bliskich znajomych byli m.in. Jacek Malczewski i Władysław Reymont. Dzieduszyccy mieli trójkę dzieci: Franciszka (1913-1926), Marię Magdalenę (1916-1999) oraz Urszulę (ur. 1919). Jerzy Dzieduszycki zmarł w wieku zaledwie 37 lat, ale jego żona już wcześniej samodzielnie i to z powodzeniem zarządzała odziedziczonym po ojcu majątkiem. Dobrowolnie podjęła decy-

zję o częściowej parcelacji majątku w Korczminie, a na części gruntów postanowiła utworzyć polską kolonię.

Bieszczadzki majątek z pewnością nie znajdował się w centrum zainteresowań Felicji Dzieduszyckiej. W sporządzonym w drugiej połowie lat 30. XX wieku opisie jej dóbr wspomniano, że drzewostan bukowy w Caryńskim poniósł poważne straty podczas mroźnej zimy na przełomie 1928 i 1929 roku.

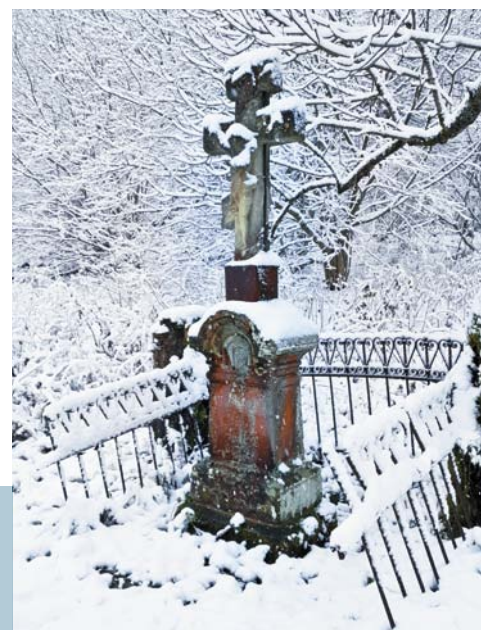
W kwietniu 1940 r. Felicja z Serwatowskich Dzieduszycka, podobnie jak jej bratowa, została razem z najmłodszą córką wywieziona do Kazachstanu. Kobiety zdołały jednak opuścić ZSRR razem z armią generała Andersa. Następnie przez Persję i Irak dotarły do Palestyny, skąd w 1947 roku wyjechały do Anglii. Ostatnia właścicielka majątku w Caryńskim zmarła w 1981 roku w Londynie.



Władysław Serwatowski (1873-1940) [Wikipedia]

Caryńskie współczucie

Warto zadumać się nad przeszłością tej jednej z wielu pozbawionych zabudowy, opustoszałych wsi bieszczadzkich. Na zakończenie warto wspomnieć, że jesienią 2024 roku została udostępniona turystom ścieżka przyrodniczo-historyczna „Caryńskie”, która powstała z inicjatywy Bieszczadzkiego Parku Narodowego przy współpracy z Gminą i Nadleśnictwem Lutowska. Trasa rozpoczyna się przy parkingu leśny przy szlaku prowadzącym na Dwernik-Kamień. Wśród najważniejszych punktów wymienić należy m.in. Przetęcz Nasiczniańską, miejsce po cerkwi w Caryńskim oraz kaskady na potoku Caryńczyk. ■



Krzyż ufundowany w 1911 r. przez Petra Minko, fot. Ł. Bajda

Bieszczadzki przystanek na życie

Tutaj spełniła się ich dorosłość artystyczna, taka, jaka na tamten czas była możliwa. Byli pierwszymi prawdziwymi artystami w Bieszczadach. W Polanie jest prywatna ogrodowa galeria kamiennych bab i rzeźb w drewnie Zdzisławy Brysiewicz i bardziej intymna malarstwa Jana Zygmantowskiego. Zawiaduje nią Tomasz Glapa.

Zdzisława Brysiewicz

Urodziła się w 1931 r. w Grodnie, gdzie ojciec służył w wojsku. Potem przenieśli się do Wasilkowa, do rodzinnego domu. W 1940 r. miała 9 lat. Sowietci wywieźli jej starszą siostrę i ją aż za Altaj nad jezioro Bajkał. Syberia hartowała nie tylko ciało, ale także i duszę. O swojej syberyjskiej przeszłości opowiedziała później dziennikarzowi Markowi Kusibie, który opublikował „Powroty Zdzisławy B.” w białostockiej „Gazecie współczesnej”: *To była tajga, proste życie, trzeba było zasadzić kartofle, zasiać proso, słoneczniki – żeby mieć co jeść. Jeździliśmy krowami, spaliali drzewo. W zimie czterdziestostopniowy mróz nie był niczym nadzwyczajnym. Panował chłód i głód. Przeżyła sześć takich zim. Prawie zapomniała języka polskiego, bo nie było z kim po polsku rozmawiać. Nawet książki mogła czytać tylko po rosyjsku. W bibliotece kołchozowej był Sienkiewicz, ale też tylko po ichniemu. Piewca jaśniepańskiej Polski – co za ide-*

ologiczne przeoczenie. Ale była tam też do czytania „Tęcza” Wandy Wasilewskiej poprawna politycznie.

Razem ze starszą siostrą wróciły do Polski w 1946 r. w tydzień po Wielkanocy. Białystok był niemal doszczętnie zrujnowany. Ze stacji kolejowej poszły na piechotę do Wasilkowa. W rodzinnym domu mieszkała tylko siostra. Rodzice nie żyli, młodsza siostra także. Wspomnienia są zawsze sentymentalne. I znów za Markiem Kusibą: *Ja do siostry Danki: daj mi jajecznicę, ale na tej dużej patelni. Ona mi usmażyła i chce do kuchni podawać, a ja proszę, żebym w stołowym mogła zjeść, i żeby nikt nie wchodził. No i usiadłam, nareszcie sama, przy tej swojej jajecznicy, w swoim pokoju, i w swoim domu i nad dobrą, starą patelnią – i nie zjadłam nawet połowy.*

W szkole nauka szła jej początkowo słabo. Miała trudności z pisaniem i mówieniem po polsku, z historią i lekturami. Pomimo tego w dwa lata zrobiła całą podstawówkę. Trochę przez przypadek rozpoczęła naukę w Liceum Plastycznym w Zamościu, gdzie zdała maturę. A potem została dopuszczona do egzaminu na warszawskiej Akademii Sztuk Plastycznych i zaliczyła go pozytywnie. „Życie Warszawy” z 11 września 1951 r., a w nim taki oto akapit: *Przeszło 300 kandydatów zdawało w tym roku na warszawską Akademię Sztuk Plastycznych. I tutaj znalazło się kilku wybijających się zdolnościami kandydatów, jak np. Zdzisława Brysiewicz, córka matorolnego chłopa z Białostockizny, która zdała z rzeźby, kompozycji i zagadnień na bardzo dobrze. Studiowała u prof. Mariana Wnuka, którego wychowankiem artystycznym był m.in. Władysław Hasior.*

Po studiach pracowała w szkole. Wtedy to zdiagnozowano u niej gruźlicę. Po operacji przebywała przez rok w sanatorium w Zakopanem. W 1969 r. w ogólnopolskim

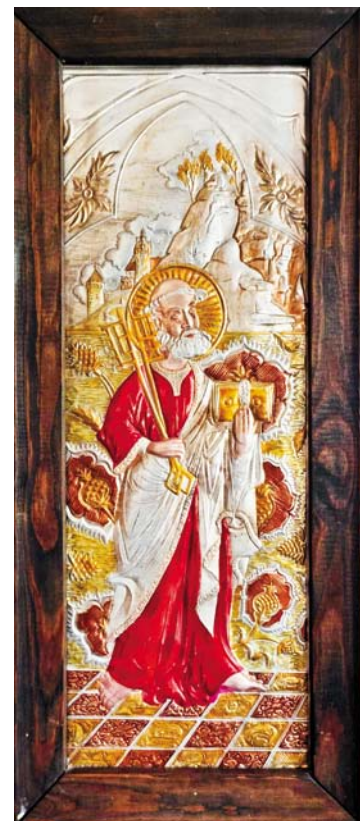


U góry: Z. Brysiewicz, *Kochankowie*, płaskorzeźba w wypalanej glinie, подарowana H. Viktoriniemu

Po lewej: *Dziewczyna z ptakami we włosach*, rzeźba w drewnie



Z. Brysiewicz przy pracy nad lalkami



J. Zygmanski w swojej pracowni. Po lewej: Święty Piotr, obraz na blasze 3D jego autorstwa

konkursie „Człowiek i Praca w Polsce Ludowej” otrzymała IV nagrodę za rzeźbę „Plon”. W latach 1969-1970 wzięła udział w ogólnopolskich wystawach poplenerowych „Spotkania rzeźbiarskie” w Orońsku. To tam tworzyła duże formy ceramiczne i na miejscu je wypalała. W Orońsku do dzisiaj zachowały się jeszcze dwie jej rzeźby ceramiczne.

Jan Zygmanski

Był pierwszym, który zaczął w Bieszczadach malować ikony. Wtedy mieszkał już od 1968 r. w Polanie. Kopiował też obrazy znanych mistrzów: Leonarda da Vinci, Rembrandta i Kossaków. Kiedy patrzy się na te kopie, wprost trudno uwierzyć, że namalował je ktoś, kto nie miał profesjonalnego wykształcenia artystycznego. Ikony tworzył zgodnie z dawną tradycją malarską, powielając pierwotne wzory. W zasadzie z tego się utrzymywał, chociaż był także utalentowanym portrecistą. Ikony sprzedawał do „Desy”, a obrazy rozchodziły się po ludziach.

Zygmanski urodził się w 1924 r. w Katowicach. Podczas II wojny światowej był więźniem niemieckiego obozu koncentracyjnego Gross-Rossen. Po wojnie wrócił do Warszawy, gdzie mieszkała jego matka i bracia. Terminował u różnych mistrzów, ucząc się zawodu introligatora i grafika. Anonimowo pomagał Janowi Marcinowi Szancerowi w ilustrowaniu książek dla dzieci. Pracował nocami. Nie mógł spać, bo męczyły go koszmary obozowe. Początkowo współpracował z różnymi wydawnictwami, wykonując dla nich okładki i obwoluty książek np. „Bibliografia utworów Adama Mickiewicza” (do roku 1855) i „Matka” Maksyma Gorkiego, oraz mapki, jak choćby do Sienkiewiczowskiej „W pustyni i puszcy” czy „Opowieści biblijnych” i „Opo-

wieści Ewangelistów” Zenona Kosidowskiego. Nie pogardził też prozą plastyczną, wykonując dla Horteksu etykiety do słoików i puszek z przetworami. Trochę jak Andy Warhol, tylko w innej klasie rzeczywistości. Robił też literniczo na celuloidach do naukowych filmów. Chałupniczo wykonywał abażury do lamp, które malarsko ozdabiał. Należał wówczas do Spółdzielni „Plastyka” w Warszawie.

W Bieszczadach

Kiedy rozpadły się im małżeństwa, zamierzali przenieść się poza Warszawę. W 1968 r. znajomy namówił ich na rowerowy wyjazd w Bieszczady. Lato było tak gorące, że w asfalcie pozostawał ślad kół roweru. Długie spodnie trzeba było systematycznie skracać, aż zrobiły się zupełnie krótkie. Spali w śpiworach pod drzewami bez namiotu. Na wybór Bieszczadów wpływ miała także przebyta przez Zdzisławę gruźlica. Wycięto jej kawałek płuca i lekarze zalecali pobyt w górach. Przez pierwsze pół roku mieszkali u Henia Victoriniego na Sokolem. Zimowali tam i Zygmanski postanowił właśnie w tym miejscu wybudować dom. Ale Zdzisława nie chciała na tym odludziu mieszkać. Może zgodziłaby się, gdyby tam był prąd elektryczny.

Aby kupić działkę w Polanie, Jan musiał ukończyć kurs gastronomiczno-hotelowy w Sanoku. Ta działka była jedną z tzw. pensjonatów przeznaczonych na działalność handlowo-turystyczną. Zawód artysty plastyka nie był w Bieszczadach potrzebny. Bardziej przydałby się w Polanie stolarz, kowal czy jakiś inny bardziej użyteczny obywatel.

Początkowo miał budować dom, ale ostatecznie przebudował starą chałupę, żadnej działalności gastronomicz-



Wycieczka rowerowa Zdzisławy Brysiewicz i Jana Zygmantowskiego, 1963 r.

no-hotelowej nie prowadzili i utrzymywali się ze sztuki, mając jako członkowie Związku Polskich Artystów Plastyków dostęp do profesjonalnych akcesoriów malarskich. Ta ich bardzo duża prowizorka ogrodzona wierzbowymi słupkami i drutem kolczastym spowodowała wojnę podjazdową z urzędnikami w gminie Czarna. No bo jakże tak, miał być pensjonat, a jest uroczysko ogrodzone drutem kolczastym z wałącą się chyżą. Od czasu do czasu pojawiał się tam chevrolet impala sąsiada, co kupił dom na Polanie Ostre, gdzie tylko traktorem i to jak droga obeschła można było dojechać. Prowizorka królowała. Bez telewizora, ale z radiem tranzystorowym na baterie. Wodę przynosiło się z potoku, bo nie było jej w domu. Potem pompowało się ją na zapas pompą na prąd.

Turyści widząc rzeźby koło domu, pytali o pana, który rzeźbi, a tu okazywało się, że z materiałem drewna zmaga się kobieta. Pan malował, pani rzeźbiła. Rzeźba Bies, dziewczyna z ptakami, ceramiczne baby. Pracownia rzeźby mieściła się pod... spadochronem. Koło domu stała jeszcze stara obora, a przy niej dwie brzozy i kapliczka w korycie. Malowanie i rzeźbienie początkowo nie przynosiło profitów. Było zajęciem dla przyjemności w czasie wolnym. Janowi zdarzało się zacząć jakiś obraz, ale nie miał w sobie na tyle chęci, by go skończyć.

W latach sześćdziesiątych wykonywali lalki ze słomy dla Cepelii, bo przecież z czegoś trzeba było żyć. Gipsowe główki i reszta przyszywana. Potem były obrazki na tekturce, stroje ludowe regionalne, taki peerelowski folk z sizalu. Też dla Cepelii. Bardziej pracowite okazało się malowanie przez Zygmantowskiego na szklanych szybach postaci w strojach ludowych, regionalnych, tańczących. Zdarzały się zamówienia z zakładów pracy z Hortexu czy Ciechu. Wtedy Zygmantowski robił na te obrazki wizytówki w blasze. Brysiewicz malowała zaś portrety dziewczynek ze zwierzętami, które następnie szły do ma-

sowej produkcji jako widokówki. Zygmantowski był też portrecistą. Kopiował portrety Leonarda de Vinci, Alberta Dürera i innych mistrzów renesansu. Na zamówienie zrobił portret szejka z Kuwejtu, ale także Janusza Kruczyńskiego z Ustrzyk Dolnych.

W roku 1974 w sali modlitewnej leńskiej synagogi¹ z okazji 30-lecia PRL zorganizowano wystawę lokalnych twórców. Znalazły się na niej m.in. rzeźby ceramiczne i z drewna Zdzisławy Brysiewicz, kapliczki Mariana Hessa, korzenioplastyka Kazimierza Klicha, rzeźby i obrazy Zdzisława Pękalskiego i płaskorzeźby Stanisława Nadwodnego.

Trzy lata później kilka ikon Jana Zygmantowskiego wystawiono już w Bieszczadzkiej Galerii Sztuki „Synagoga”, m.in. „Trójcę Świętą” Rublowa. Jedną z jego ikon obrazowała proces tworzenia od deski poprzez kolejne warstwy gruntu i wreszcie kredy, na której ryl-

cem w ostatniej warstwie zaznaczony był kontur postaci na podmałówkach szat oraz ich twarze. Wiele lat później ten widoczny obrys rylcem postaci Matki Boskiej Rudeckiej widziałem na szesnastowiecznej ikonie w kościele w Jasieniu².

Zygmantowski próbował tworzyć w blasze. Wymłotkował w negatywie tryptyk. Potem pomalował pozytywny i tak powstawał obraz 3D. Brysiewicz zaczęła mieć problemy z tarczycą. W trakcie operacji przeszła zawał i ze względu na opiekę lekarską mieszkała po trosze w Warszawie, ale też kilka miesięcy w lecie w Bieszczadach. Zygmantowski zmarł w 1990 r. na zawał. Utyskiwał na poobozowe niedomagania, na nogi, na żołądek, ale to serce nie wytrzymało po niewyleczonej grypie. Pochowano go na cmentarzu w Polanie. Brysiewicz zmarła w 2022 r. w wieku 91 lat. Wtedy mieszkała już u rodziny w Wasilkowie.

Jedną kamienną babę ceramiczną Zdzisławy Brysiewicz stoi nadal nieopodal ośrodka wypoczynkowego „Plon” w Polańczyku, kilka w ogrodzie jej syna Tomka w Polanie i wspomniane dwie w Orońsku. Zachowały się też jej rzeźby w drewnie: Bies i dziewczyna z ptakami. W domu Tomka Glapy znajduje się spora spuścizna artystyczna Jana Zygmantowskiego. Kilka jego obrazów trafiło do bieszczadzkich przyjaciół.

W powszechnej świadomości ani Brysiewicz, ani Zygmantowski nie zdomowili się, bo przyszło im żyć i tworzyć zanim nastały media społecznościowe, w których jak nie ma się nic do powiedzenia, to przynajmniej zmienia się zdjęcie profilowe. A przecież oni w pionierskich czasach osadnictwa, postanowili żyć wyłącznie ze sztuk i artystycznie zagospodarowywali Bieszczady. ■

Przypisy

1. Mieścił się w niej wówczas powiatowy Dom Kultury w Lesku
2. Ikona została skradziona przez nieznaną sprawcę w lipcu 1992 r.

Rodem spod Babiej Góry drogą górskich marzeń

Z dr hab. Piotrem Kłapytą rozmawia Krzysztof Krzyżanowski

– Jesteś podobno górale. Raz widzę cię w stroju podhalańskim, innym razem w stroju huculskim, potem w babio-górskim, a ostatnio nawet w jakiejś wołoskiej czapie. Na ile ty naprawdę jesteś górale?

– No myślę, że to jest trafione określenie, bo faktycznie czuję się górale, ale odczuwam to bardzo szeroko i jakby wychodzę poza granice jakiegoś jednego regionu, chociaż mam świadomość miejsca, gdzie się wychowałem.

– No nie! Przecież góral musi być konkretny! Górale nie może być ktoś, kto sobie wymyślił że jest górale ze wszystkich gór świata. Góral ma swoją przestrzeń, swoją górę, swoją dolinę, więc czy ty je masz?

– No jasne, przecież mam swoją małą ojczyznę! Oczywiście jest nią okolica Babiej Góry.

– W takim razie powiedz mi coś o swoim dzieciństwie i o tym, że nie jesteś górale tylko ze słyszenia, bo tak ci ktoś powiedział.

– Nie, nie! Tego mi nikt nie mówił. U nas w domu się tego wstydzono! Owszem była gwara i świetnie mówiła nią babka. Dziadka nie znałem ani jednego ani drugiego. Drugą babcię też znałem. Ona też mówiła gwarą. Wszyscy krewni pochodzili z Białki koło Makowa, też ze Stryszawy i Zembrzyc. Babka mieszkała pod samym szczytem Magurki na wysokości prawie 800 metrów, więc bardzo wysoko jak na Beskidy.

– Mówisz, że twoja rodzina się wstydziła tej góralości. Jak się to przejawiało? Wstydziliście się manifestować swoją góralość na przykład za pomocą stroju?

– Akurat do stroju góralskiego nie było u nas w domu żadnego przywiązania. Ja sobie strój babiogórski dopiero na studiach sprawiłem pierwszy raz w życiu. Zawsze to było takie moje ciche marzenie, bo zazdrościłem go innym górale, których oglądałem jak byłem mały na scenie. Strój jest narzędziem takiej bardzo wyraźnej identyfikacji z danym regionem. U nas w rodzinie góralość wyrażała się najbardziej tym przywiązaniem do tego miejsca, gdzie żyliśmy, ponieważ moja rodzina się mało przemieszczała poza granice wsi. Wiadomo, trzeba było chodzić do swojego lasu, pracować na polu, na przykład sadzić ziemniaki, ale o dalszych podróżach w nieznane raczej mowy nie było.

– Skąd się w takim razie wzięła u ciebie ta pasja do chodzenia po górach, bo górale przecież raczej po górach nie chodzili, bo po co? Góralczyzna zawsze była pragmatyczna. Chodziło się, owszem, ale w konkretnym celu: do



lasu, albo łaskę pokosić czy iść paść owce, bydło. Skąd więc u ciebie ten dryg do gór?

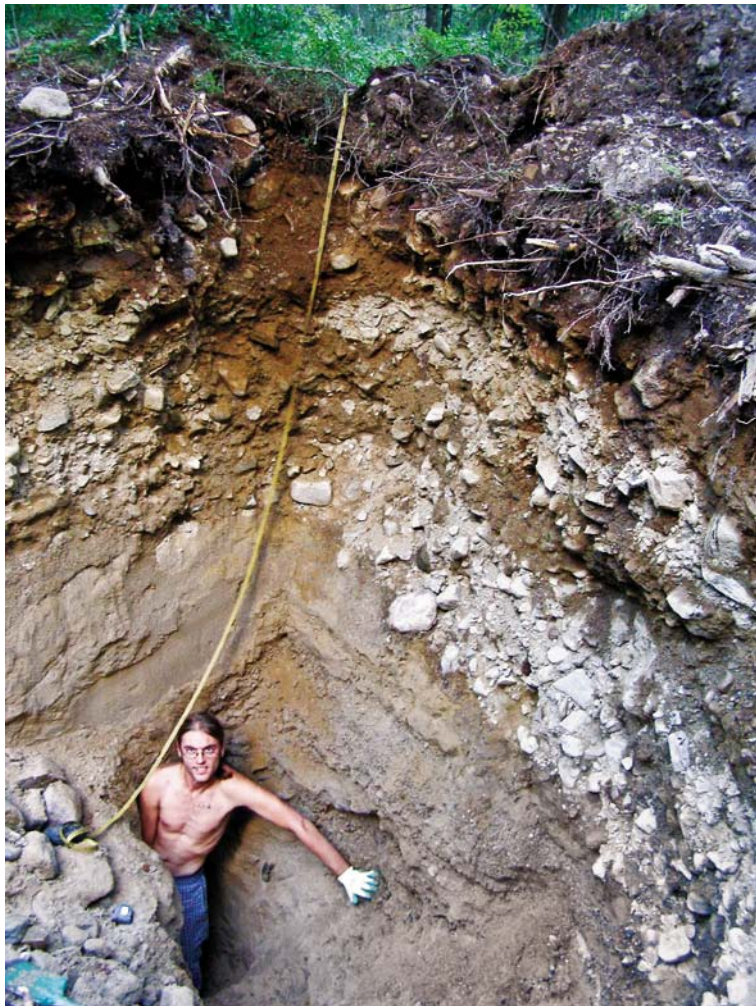
– Sądzę, że taki pierwszy impuls w tym kierunku zaszczerpił we mnie mój tato, który jest z zamiłowania rowerzystą, mniej piechurem górskim i wyciągał nas z bratem na szczęście dalej od domu, ale raczej bardziej w nasze okolice żebyśmy je po prostu lepiej poznali. W kontekście takich moich świętych miejsc, zawsze podczas tych wędrówek największe wrażenie robiła na mnie ośnieżona Babia Góra, której przecież nie widziałem na co dzień z domu, ale lubiłem na nią patrzeć niemal każdego dnia w drodze do szkoły. Zawsze przyciągała mój wzrok.

– Czyli to ona była twoim pępkiem świata, twoją osią życia?

– Tak, tak, zdecydowanie! Drażniło mnie najbardziej, że ze Stryszawy, gdzie mieszkaliśmy nie było widać całego masywu Babiej Góry i wiecznie mnie korciło, żeby ją zobaczyć w końcu w całości. Chciałem się na nią wdrapać. Zdobywałem ją więc stopniowo, najpierw mając tylko możliwość oglądania jej z oddali podczas wspomnianych rowerowych wycieczek. W końcu, jak byłem starszy, czyli w siódmej klasie, to wyjeżdżałem prawie codziennie na przełęcz Przysłop, żeby sobie tam dłużej posiedzieć i się jej bliżej przyglądać w całej jej okazałości. Jednak nie pamiętam dokładnie kiedy tam pierwszy raz byłem, chyba już w podstawówce.

– Wiem, że obecnie twoją wielką pasją życiową są góry i to nie tylko w sensie przyjemności chodzenia po nich, ale przede wszystkim zajmujesz się nimi naukowo. Jak do tego doszło?

– Paradoksalnie myślę, że popchnęła mnie w kierunku gór moja rodzinna sytuacja o której wspominałem, że nie było u nas, tak jak u mojej żony tej tradycji wędrowania po górach, bo rodzice nie widzieli w tym swojej potrzeby. Czułem się więc z tymi tłumionymi marzeniami wiecznie za szybą. Dlatego po szkole wracałem do domu i po prostu sobie te góry robiłem w różnych wersjach, czy to sobie je rysowałem, czy też tworzyłem jakieś ich mapy, modele schronisk PTTK, rysowałem też panoramy górskie wzorując się na pracach Edwarda Moskały. Jednak moja prawdziwa przygoda z górami zaczęła



8000 lat w głąb historii ziemi. Badania terenowe. Fot. J. Kłapyta

się dopiero jak poszedłem na studia. Duży wpływ na wybór mojej drogi miała przyjaźń z pierwszych dwóch lat studiów z Arturem Nowotarskim, przedwcześnie i tragicznie zmarłym geografem, taternikiem jaskiniowym, podróżnikiem i ratownikiem z bieszczadzkiej grupy GOPR. Mieszkaliśmy razem na stacji do której ściągaliśmy od Wojtka Krukara wszystko związane z górami, szczególnie Karpatami Wschodnimi, przedwojenne mapy WIG, przewodniki, pocztówki, a z magnetofonu grała tam ciągle Orkiestra św. Mikołaja lub Kapela Romana Kumłyka – huculskiego multiinstrumentalisty i nawet bym wtedy nie uwierzył, że ten mistrz huculskiej muzyki po latach stanie się moim przyjacielem! Artur także obudził we mnie odziedziczone po dziadku pasje muzyczne, sam grał na piszczałkach i zabrał mnie pierwszy raz w Bieszczady, Czarnohorę i Gorgany. Zainspirował mnie także do rozpoczęcia Kursu Przewodnika Beskidzkiego. Od tego czasu wła-

śnie zaczęła się moja huculska fascynacja, która kilka lat później doprowadziła do zorganizowania Festiwalu Huculskich w Krakowie i w całej Polsce, ale już bez Artura, lecz z moją potem przyszłą żoną Justyną, która mnie w praktyce wciągnęła w świat Hucułów robiąc tam chyba jedno z pierwszych powojennych badań etnomuzykologicznych.

– Czyli masz od dzieciństwa wyraźnie wrodzoną naturę badacza, który chce poznawać świat, i porządkować zjawiska. Powiedz co jest dla ciebie najważniejsze w nauce?

– Nienawidzę chaosu poznawczego. Drażniło by mnie, jeśli bym pojechał w jakiś region górski bez wcześniejszego dokładnego opanowania jego topografii. Czułbym się wtedy jak mała ofiara tego miejsca [śmiech]. Jak przechodzę przez ten etap poznawczy no mam poczucie panowania nad tą przestrzenią. Bardzo ważne jest podejście holistyczne. W pracach naukowych staram się dojść do pełnego obrazu rzeczywistości, jego syntezy. Oczywiście wymaga to czasochłonnych badań, ale nudzi mnie drobiazgowo skupianie się na wąskich zagadnieniach, czyli takie „grzebania” ciągle w jednym wąskim temacie. Dlatego pracując nad zlodowaceniem w Karpatach chciałem przebadać ten problem w możliwie szerokiej skali i udało mi się opracować całe Karpaty Wschodnie oraz dużą część Karpat Zachodnich i teraz działam w Rumunii i w Alpach wraz z moim najlepszym przyjacielem doktorem Jerzym Zasadnim.

– Czym w takim razie tak naprawdę zajmujesz się naukowo?

– Moją pasją naukową jest paleogeografia czyli dyscyplina zajmująca się rekonstrukcją dawnego środowiska. W swoich badaniach sięgam daleko w przeszłość w nieprzyjazne pod względem klimatycznym czasy ostatniego zlodowacenia, kiedy po raz ostatni około 20 000 lat temu w Karpatach mieliśmy lodowce. Praca ta przypomina nieco detektywa, który zbierając zapis różnych śladów odtwarzając nieistniejące już krajobrazy. Paleogeografia należy przez to do najtrudniejszych działów geografii, gdyż w odróżnieniu od klasycznych badań geograficznych, gdzie opisujemy współczesną nam rzeczywistość i musimy to co zakryte wydobywać opierając się na szukaniu analogii ze współczesności. Z zapisu form rzeźby pozostawionej przez lodowce możemy dowiedzieć się wiele o dawnych warunkach klimatycznych, skąd wędrowały do nas opady, jak bardzo było zimno.

– A czy współczesny rozwój technologiczny dał więcej narzędzi do tych badań?

– Zdecydowanie tak, w Naukach o Ziemi jednym z najważniejszych elementów i pewnym punktem zwrotnym było zastosowanie skaningu laserowego, generowanie wysokorozdzielczych numerycznych modeli terenu i jego pokrycia, a w praktyce oglądanie ukształtowania powierzchni ziemi bez przykrywającej jej roślinności. Przy pomocy tych technologii dokładnie widać dokąd sięgały lodowce, gdzie powstały osuwiska, a nawet można zidentyfikować pozycję pojedynczych dużych głazów. Drugim ważnym osiągnię-

ciem jest możliwość dokładnego datowania powierzchni skalnych używając zakumulowanych w powierzchniach skalnych izotopach powstających w wyniku działania promieniowania kosmicznego. Można powiedzieć że dzięki eksplozjom gwiazd we wszechświecie możemy poznać historię lodowców i dowiedzieć się kiedy ustąpiły z naszego górskiego krajobrazu.

– Bardzo ciekawe, bo ja próbuję od lat zrozumieć twoje wielowymiarowe zdolności, zachowania i też twój wrodzony zmysł aktorski, bo przecież byłeś też narratorem w kilku filmach które robiłem na przykład *Król Węży*, czy *Tajemnica Pisanej Skąły*. Jak słuchałem cię podczas twoich wykładów, to zauważyłem, że potrafisz doskonale zapanować nad swoją wypowiedzią i odczuwa się taką pewność, że ty wiesz co mówisz. Jak to osiągasz?

– Tak. Do kwestii wypowiadania się przyjmuję zawsze podejście naukowe. Nie byłbym w stanie mówić komuś o czymś, nie będąc w stu procentach pewnym, że mam na to argumenty, bo to byłoby hochsztaplerstwo. Muszę najpierw sam w to uwierzyć, by potem o tym mówić.

– Czyli ciebie fascynują góry nie tylko od strony twojej dyscypliny naukowej, ale też od strony kulturowej?

– Zdecydowanie tak. Nie tylko ważny jest sam krajobraz, specyfika rzeźby. Ta kultura to taka wartość dodana. Ciekawi mnie też symbioza życia ludzi gór z tym krajobrazem i z przyrodą.

– W takim razie wynika z tego, że twoje zainteresowania wyrosły pod górą i w te góry cię konsekwentnie prowadziły i co w tym kontekście może się wydawać zaskakujące, że pod tą górą na której czubek spoglądałeś od najmłodszych lat zająłeś się też od strony badawczej tworząc, z tego co wiem, pierwsze tak szczegółowe mapy rzeźby całego masywu Babiej Góry. Przy okazji odkryłeś też pierwsze solidne dowody na jej zlodowacenie. No tak, ale z tego geomorfologicznego badania gór dosyć gładko przeszedłeś w badania nad historią osadnictwa wołoskiego. Skąd to zainteresowanie?

– Okolice Babiej Góry też są związane z kolonizacją wołoską. Chciałem poznać pochodzenie moich przodków. Przeczuałem, że mam coś wspólnego z tymi Wołochami. Temat nie był w sposób przejrzysty opracowany. Chciałem go zrozumieć i ująć w czasie i przestrzeni. Przez lata tkwiłmy w tematyce wołoskiej w martwych punktach skupiając się na dawno ustanowionych paradygmatach, które nie pozwalały nic nowego odkryć. Postanowiłem więc zestawić w przestrzeni wiedzę historyczną tworząc mapy osad-



Na planie filmowym *Króla Węży*. Fot. J. Kłapyta

nictwa wołoskiego oparte na historii 500 miejscowości na przestrzeni 400 lat. Dzięki nim mogłem odkryć jak bardzo w skali Karpat osadnictwo wołoskie było determinowane przestrzenią, pierwotnie w XIV wieku skupiając się wzdłuż strategicznych traktów i przepraw przez góry, a potem podczas ochłodzenia i zwilgotnienia Małej Epoki Lodowej zajmując w Karpatach niemal wyłącznie obszary górskie położone powyżej 500 m n.p.m.

– Wędrujesz i badasz wiele górskich miejsc, które wydają się dla ciebie najciekawsze i dlaczego?

– Wychodzi na to, że to te masywy w których można znaleźć ślady dawnego zlodowacenia. W samych Karpatach jest takich pasm 35, najwięcej w Rumunii, chociaż i tak Tary pobijają wszystkie inne swoją skalą i rozmiarami zlodowacenia, będąc miejscem, gdzie mieliśmy 20 tys. lat temu największe i najbardziej aktywne lodowce. Oprócz Tatr na pewno bliska jest mi Czarnohora, być może dlatego że przypomina mi rodzinną Babią Górę. Tam na Ukrainie rozpocząłem moją przygodę z prawdziwą nauką podczas pisanie pracy magisterskiej dotyczącej jej rzeźby, ale oczywiście to jednak Babia Góra stała się moją inspiracją do poznawania gór wysokich, historii i przy okazji także kultury, teraz jestem już pewien, że faktycznie moich dalekich przodków Wołochów. ■

Wywiad opracowała Małgorzata Cząstka

Dr hab. Piotr Kłapyta – pracownik naukowy Uniwersytetu Jagiellońskiego, geograf, geomorfolog, przewodnik beskidzki, autor ponad 500 panoram górskich (przewodniki, wieże widokowe), kulturoznawca, krajoznawca, ekspert od historii osadnictwa wołoskiego, multiinstrumentalista, aktor-pasjonat, folklorysta-pasjonat, współautor najlepszej na świecie mapy roku 2014 „The Tatra Mountains during the Last Glacial Maximum”.

Skansen pod zamkiem Lubowla to nie tylko kwestia liczby

Każdy skansen jest specyficzny. Niezależnie od tego, gdzie jest lokalizowany, zawsze jest wyjątkowy. Jednak w przypadku skansenu w Starej Lubowli ta specyfika jest podwójna. Decyduje o tym miejsce, w którym znajduje się muzeum architektury ludowej. Jest ono niejako więzieniem swojego znacznie starszego i bardziej znanego sąsiada – zamku Lubowla*. Administracyjnie jest również częścią jednej i tej samej organizacji, której założycielem jest Samorządowy Kraj Preszowski – chodzi o Muzeum Lubovnianskie w Starej Lubowli. Skansen zapewnia ciszę i spokój. W jego drewnianych budynkach można cechy te odnaleźć po burzliwym i wymagającym fizycznie zwiedzaniu nieco wyżej położonego zamku.

Skansen, o którym będzie mowa w kolejnych wierszach, został „wymyślony” przez Andreja Čepišáka. W latach 60. ubiegłego wieku zaproponował on umieszczenie małego skansenu po zachodniej stronie wzgórza zamkowego. Pomysł polegał na przedstawieniu życia biedniejszych ludzi w tradycyjnej wiosce rusińskiej, góralskiej i niemieckiej przynależności etnicznej. W 1974 roku rozpoczęto rozbiórkę



Dušan Janický, administrator skansenu

Skansen Starolubovnianski ma swojego ideowego ojca, pomysłodawcę w osobie Andreja Čepišáka, który był również założycielem wspomnianego wyżej Muzeum Lubovnianskiego. Starał się on uratować przede wszystkim zamek Lubowla, który w przeszłości był ruiną. Chciał, aby znalazł się on na liście zabytków do odrestaurowania przez państwo. Podobnie myślał przy odbudowie podzamcza, którego częścią jest również teren, na którym dziś stoi muzeum. To były łąki, na których była owczarnia, oraz miejsce, gdzie mieszcili się pszczelarze. Chodziło o znacjonalizowany majątek hrabiego Zamoyskiego. Zróżnicowane etnicznie okolice Starej Lubowli, gdzie krzyżują się regiony Spiszu, Szaryszu i wpływy górali zza Magury, były podstawą do stworzenia kompleksu z domami grup etnicznych występujących w regionie. Przeprowadzono poważne badania, w terenie zidentyfikowano obiekty z okolicy. Już wyżej wymieniona świątynia drewniana – pw. św. Michała Archaniola – z wioski Matysová, niedaleko Starej Lubowli, jest dominantą skansenu. Pierwotnie miał już zaburzoną statykę. Zainteresowanie nim wyrażono w Martinie, gdzie chciano skoncentrować podobne rzadkie obiekty z całej Słowacji. A. Čepišák więc zdał sobie sprawę, że taki zabytek – jest to zrębowa jednonawowa budowla z sanktuarium i przedsionkiem, nad którym góruje wysoka wieża – powinien zatrzymać się w „naszym” regionie, dlatego w 1978 roku świątynia została ostatecznie przeniesiona na teren obecnego skansenu. Znajduje się w niej rzadki ikonostas, obecnie odrestaurowany, pochodzący z pierwszej połowy XVIII wieku. Regularnie odbywają się tu liturgie i nabożeństwa podczas ważnych świąt kościelnych.

i przenoszenie drewnianych domów i zaczęto tworzyć ekspozycję etnograficzną. Pierwszym obiektem była cerkiew grekokatolicka ze wsi Matysová, pochodząca z 1833 roku. Pierwsi zwiedzający mogli wejść na teren obiektu w 1985 roku. Na powierzchni pięciu hektarów w skansenie znajduje się razem ponad 20 obiektów. Pochodzą one z okolic Starej Lubowli, na przykład z miejscowości Údol, Kamienka, Sulín, Malý Lipník, Hanigovce czy Torysa. Są to domy rodzinne, spichlerze lub majdany, w których spali pasterze. Wszystkie są więc oryginalne i wiąże się z nimi prawdziwa historia. Na przykład dom z Veľkého Lipníka, który został umieszczony jako ostatni w 2015 roku, jest najstarszym drewnianym domem z 1885 roku. Wszystkie były w przeszłości użytkowane przez swoich właścicieli, dotyczy to również drewnianego domu z Veľkého Lipníka. Do „ostatniej chwili” przed przeprowadzką korzystali z niego Katarína Šugová i jej brat Vasil. Pracownicy muzeum znaleźli również ich walizki w nienaruszonym stanie w domu po ich powrocie z pobytu w Ameryce.

Pytanie, czy liczba obiektów w skansenie wzrośnie, to kwestia pieniędzy. Finansowo jest to wymagająca inwestycja. Na przykład w latach 90. w skansenie nie mogło pojawić się nic nowego z powodu braku pieniędzy. W tym czasie skansen cieszył się, że może utrzymać to, co najważniejsze, czyli dachy na domach. Ogólnie rzecz biorąc, tutejsze muzeum architektury ludowej w plenerze nie można określić mianem projektu „megalomańskiego”. Skansen mogą zwiedzać również osoby

* W języku słowackim sprawa jasna – nazwa jest Stará Ľubovňa, zamek Ľubovňa. W języku polskim jest i Stara Lubowna, i Stara Lubowla, również zróżnicowane są nazwy zamku. W tekście korzystamy tylko z jednej opcji – Lubowla.

niewidome, do dyspozycji których przygotowano modele obiektów z opisami w alfabecie Braille'a. Była to pierwsza oferta tego rodzaju, pierwsze tego typu udogodnienie na Słowacji.

Dušan Janický (na zdjęciu) jest administratorem skansenu od ponad dziesięciu lat. Zna już szczegółowo wszystkie plusey okolicy, ale także możliwe minusy, które jednak nie rzucają się zwiedzającym w oczy. Według niego pewnym problemem jest niewielka nierówność terenu, na którym znajduje się skansen. Z tego powodu po deszczach zatrzymuje się tu dużo wody powierzchniowej. Nie ma tu naturalnego przepływu wody, który jest nieodłącznym elementem zdecydowanej większości podobnych muzeów na Słowacji. Teren jest więc wypełniony głównie drzewami. Powstała na przykład aleja śliw, została ona zasadzona jeszcze przez pierwszego administratora skansenu.

W każdym razie dobra lokalizacja wokół zamku została wykorzystana do założenia skansenu. Znajduje się tu niewielkie jezioro, które w przeszłości zostało utworzone jako zbiornik retencyjny, a woda z niego miała być wykorzystywana do gaszenia ewentualnych pożarów. Na szczęście nigdy nie musiało być używane w takim celu. Jest to jednak naturalne „źródło” dla zwierząt domowych, takich jak owce, kozy, krowy, kury i kaczki. Ponadto w zagrodzie znajdują się konie huculskie.

Typowe dla drewnianych domów (po słowacku to drevenice) w regionie Starej Lubowli jest to, że są one pokryte gontowymi dachami. Nie ma więc ani jednego budynku pokrytego słomą. Drewniane domy dwu- i trzyizbowe składają się w pierwszym przypadku z izby i piwnicy, w drugim przypadku jest dodana komora. Budowle o charakterze technicznym reprezentowane są w skansenie przez takie obiekty jak stodoła, stajnia, spichlerz. Niestety, ładny tartak ze Starej Lubowli już nie funkcjonuje.

Domy w skansenie mają wnętrza dostosowane (to ważne i interesujące dla zwiedzających) do różnych wydarzeń z codziennego życia mieszkańców wsi. Na przykład wewnątrz zagrody ze wsi Kamienka przybliży najsmutniejszy moment w życiu rodziny – śmierć członka rodziny. Od momentu śmierci miejscowi zatrzymywali w domu zegar, zaścianiali lustro, a zmarłemu wkładali do ręki pieniądze. Całe gospodarstwo rolne z pierwszej połowy XX wieku miało konkretnego właściciela – nazywał się Anton Kurcin. We wnętrzu domu mieszkalnego ze wsi Jakubany znajduje się prezentacja odwrotnego momentu życiowego – urodzenia dziecka. Matka z dzieckiem leżała na łóżku, które było przykryte prześcieradłem, jego czerwona dekoracja i wbite szpikulce miały chronić ich przed złymi mocami. Dzieciątka kąpano w drewnianej małej wannie, następnie smarowano go masłem, owijano w płócienną pieluchę i poduszki. Dom należał do rodziny Krivoňákovskej, która wybudowała go w 1938 roku.

Nieco starsza w skansenie jest zagroda ze wsi Údol. Została zbudowana przez rolnika Mikuláša Sorokę w pierwszej połowie XX wieku. Przede wszystkim miejsce przy stole przybliży zwiedzającym obchody Świąt Bożego Narodzenia w gronie najbliższej rodziny. W 1909 roku Štefan Čensčák



Skansen Starolubovnianski, fragment ekspozycji

zbudował góralski dom w magurskim regionie Spiszu. Przez kilka lat pełnił funkcję wójta wsi. W domu mieszkali dwa pokolenia, cieszył się urodzeniem ośmiorga dzieci i zawarto w nim pięć małżeństw. Na początku XX wieku Mikuláš Cicák zbudował dom mieszkalny we wsi Kremná. W skansenie zachował się system grzewczy, składający się z pieca chlebowego, otwartego ogniska i piecyka. Wnętrze domu przybliży ważne wydarzenie – wesele, które wiązało się z bogactwem miejscowych zwyczajów. Trwało ono tradycyjnie trzy dni. Rozpoczynało się w niedzielę wieczorem pożegnalnym młodych, przyszłych nowożeńców z młodzieżą wiejską. W poniedziałek kontynuowano i miejsce miały zaślubiny, a we wtorek wyprawę panny młodej przenoszono do domu teściowej. Uczta weselna była skromna, ale pełna wesołości i śpiewu.

Skansen pod zamkiem w Starej Lubowli jest jednym z najmłodszych i najmniejszych na Słowacji. Na całym obszarze skansenu jest wiele do zobaczenia, zafascynowania się i zastanowienia się nad upływem czasu i ludzkiego istnienia. ■

Na początku 2025 roku Urząd Samorządowego Kraju Preszowskiego w Preszowie, który jest założycielem wielu muzeów i galerii w Kraju Preszowskim, poinformował, że te organizacje kulturalne odwiedziło w ubiegłym roku prawie 440 tysięcy osób, z czego prawie 400 tysięcy odwiedziło muzea. Największą liczbę zwiedzających, aż 205 tysięcy, odwiedziło Muzeum Lubovnianskie – Zamek w Starej Lubowli (utrzymuje tę pozycję od kilku lat, do skansenu weszło aż 100 tysięcy osób). Tutaj dodano nową ekspozycję zamkową *Ze snów Pana Zamku, Pana Kasztelana*, a także wyjątkową wystawę obrazów kompletnego portfolio królowej Ntombi, która powstała we współpracy z Muzeum Sztuki Współczesnej A. Warhola w Medzilaborcach (ono jest tymczasowo zamknięte z powodu gruntownej przebudowy całej budowli, w którym się mieści).

Rozeta – karpacki symbol ładu w świecie. Nowa perspektywa analizy

Rozeta to rozpowszechniony dziś ornament o wszechstronnym zastosowaniu w kulturze Karpat. Górale podhalańscy, śląscy i żywieccy nazywają ją gwiazdą, a Huculi rużie (różą). Wiele osób zresztą słusznie uważa ten archetypiczny symbol za emblemat kultury karpackiej, gdyż spotkać go można w różnych wytworach dziedzictwa materialnego niezależnie od granic państwowych i etnicznych.

Poza góorskimi regionami naszego kraju określana była też „kwiatem życia” albo gwiazdą heksapentalną. Powszechnie przyjmuje się, że jest to symbol solarny, apotropeion mający – jak twierdzą górale – chronić przed działaniem niepożądanych mocy. I jedna definicja i druga wydaje się słuszna, ale obie nie do końca w pełni tłumaczą dokładnie kwestię rozumienia idei wyrażonej w jej uporządkowanym i przejrzystym z punktu widzenia symetrii odwzorowaniu geometrycznym. Z pewnością Rozeta to symbol, w którym jak w każdym archaicznym symbolu zostało zaszyfrowane źródło analizy świata skierowanej w stronę rzeczywistości sacrum. Analiza świata to stan umysłu, zakryty przed obserwatorem, ale mo-

cą z otaczającym go światem, co najlepiej wyrażają wytworzone przez niego przedstawienia plastyczne i inne wytwory sztuki, w których ważną rolę odgrywało też zdobnictwo. Sens zdo-bienia różnych przedmiotów nie był pierwotnie podyktowany estetycznymi upodobaniami, ale celowo ukierunkowanym myśleniem magicznym. Rozeta to doskonały przykład takiej reprezentacji, której głębszy magiczny sens zasadza się na odwzorowaniu sposobu w jaki człowiek pojmował swoje miejsce w świecie i swoją relację z otaczającym go Kosmosem (Wszechświatem). Wyraża się w tym symbolu rozpoznana przez niego kosmologicznie idea specyficznego rozumienia upływu czasu, przemian jakie o niesie, czyli nieubłagalnego zużycia, destrukcji form i ich zamierania, które było w jego mniemaniu warunkiem koniecznym do regeneracji kondycji świata i odnowy czasu. Tą oczywistą w świecie Kosmosu wyraża forma koła, czyli ta figura, w którą wpisany jest znak Rozety. Sens bycia i poczucia orientacji w świecie, w jego początkowo niezasiedlonej, czyli niezróżnicowanej przestrzeni wyrażał przez idee centrum, czyli szukania jakiegoś mocnego punktu odniesienia, podparcia, czyli środka (tzw. axis mundi). Taki punkt stabilizował jego poczucie bezpieczeństwa i orientacji w świecie.

Za jeden z przykładów może posłużyć tu wybór miejsca pod budowę domu – pierwotnie spełniającego rolę świątyni, ponieważ w nim człowiek się rodził i umierał. Tutaj w obliczu czterech ścian, czyli czterech stron świata odbywały się wszystkie obrzędy przejścia. Idea centrum musiała więc wyrażać się zawsze w relacji do otaczającej jej przestrzeni. Jej ustrukturyzowanie już w najstarszych mitach świata wyraziło wyznaczenie czterech kierunków świata z opozycją góra i dół. Są to właśnie te trzy linie które przecinają środek rozety. Zastosowanie tego symbolu w każdym chyba przypadku miało funkcję stabilizowania równowagi i harmonii w świecie bez względu na cel jakiemu miał służyć ten symbol. Karpacki pasterz żyjący w głębokiej symbiozie z Naturą, Kosmosem chyba najlepiej rozumiał poczucie sensowności, celowości i nieprzypadkowości życia. Dzięki temu zyskiwał poczucie bezpieczeństwa w bezkresnej przestrzeni gór, przepętnionej – w jego mniemaniu – duchami i różnymi istotami nadprzyrodzonymi. Wyrażona w Rozecie idea ładu i rozumienia czaso-przestrzeni doskonale wyraża się także w sposobie, w jaki karpacki pasterz pierwotnie rozpałał ogień (*watrę*). Jego coroczne rozpalenie było powtórzeniem kosmogonii, czyli działania i gestów bogów biorących udział w akcie stwarzania świata. Wracał więc w sposób rzeczywisty do sytuacji początku, bo czas i świat się zużywał, a ogień zamierał i przychodził ten czas, kiedy trzeba było go wskrzeszać, czyli na nowo stwarzać, ożywiać po chwilowym zimowym uśpieniu. Dla pasterza ogień był żywy. Przez niego przejawiała się



Rozeta na belece stropowej huculskiej chaty

gący się uzewnętrzniać na przykład w działaniach obrzędowych albo w strukturze świętego mitu. Nie ulega wątpliwości, że w tej doskonałej reprezentacji graficznej zaszyfrowana została jakaś archaiczna myśl człowieka żyjącego w bardzo odległych czasach. Rozeta z pewnością wyraża idee ładu i porządku, czyli kategorii naczelných i uniwersalnych już dla wielu wczesnych, antycznych, ale też wcześniejszych kultur świata. Według Ernsta H. Gombricha (*Sens of Order*, 1979) zmysł ładu i porządku to pewna głęboko zakorzeniona i zaszczerpiona a priori w umysłach ludzi zdolność poznawcza.

Człowiek nosząc w sobie wrodzone poczucie ładu nieustannie szukał jego potwierdzenia i zespolenia się za jego pomo-

świętość kreatora wszelkiej światłości (słońca-gwiazd-pioruna), do ognia czule przemawiał i ogień przepraszał. Aby jeszcze głębiej poznać idee zaszyfowaną w Rozecie, trzeba się odwołać jeszcze do przedchrześcijańskiego mitu wytworzenia, jako podstawy budującej każdy światopogląd tradycyjny. W micie tym ustalony został przez dwóch demiurgów odwieczny ład świata. Reprezentowali oni dwa odmienne, choć dialogujące ze sobą układy (górny-męski związany ze światłem) i (dolny – żeński związany z chaosem wody). Konsekwencją ich współdziałania stał się zarówno wertykalny podział świata na trzy wyraźne piętra (dolne – środkowe[mediacyjne], górne), jak horyzontalny – wyznaczający cztery strony świata: dwie z nich odpowiadają w północy i zachodowi, czyli siłą świata dolnego (żeńskiego), a dwa kolejne (południe i wschód) – siłą świata górnego (męskiego). Przeżegnanie świata, opozycje góra i dół z ideą centrum jako punktem mediacji oraz rozumienie czasu jako ciągłego powrotu do początku mitycznego stwarzania (odtworzenia), to skrót tej opowieści, a zarazem uwypuklenie elementów konstytuujących prawdopodobnie wpisaną w nasz umysł niezależnie od miejsca i czasu gramatykę myślenia. Ta uniwersalna dla ludzkości predyspozycja myślenia zasadza się na układaniu rzeczy w przeciwstawne sobie i szukana między nimi środka (centrum). Wobec tego nie powinno nas zdziwić, że pasterz rozpalając ogień najpierw okrąża go trzy razy (koliste rozumienie czasu), zaznacza w miejscu paleniska znak krzyża (pierwotnie niechrześcijańskiego – kierunki świata) i zaczyna go krzesać, czyli jakby powtórnie stwarzać świat (odtworza kosmogonię).

Symbol odległych epok

Zaszyfowanie w tym symbolu uniwersalnej struktury myślenia i jego związek z sacrum stały się przyczyną jego niezwykłej trwałości, niezmienności i łatwości przenikania do różnych dziedzin kultury niezależnie od podziałów narodowych i kulturowych od najstarszych dziejów ludzkości aż do naszych czasów. Treści wypełniające ten symbol nie musiały być wobec tego stałe. Mogły ulegać zmianie, która zależała od kontekstu w którym się znalazł. Nie każdy jednak wie, że zupełnie identyczny motyw symboliczny spotkać można w odległych od Tatr i Karpat zakątkach świata jak np. w Jordanii, a szczególnie w kulturach mających swoje korzenie w basenie Morza Śródziemnego. Był też znany w Europie Zachodniej i Północnej. Jedno z najstarszych przedstawień rozety znaleziono na kamiennych blokach egipskiej świątyni Ozyrysa – egipskiego Boga śmierci i odrodzenia życia, które według jednej z teorii powstało ok. 4000 lat temu, a według drugiej 8 000-10 000 lat p.n.e. Za czasów Chrystusa w Palestynie ryto znaki roze-



Rozeta zdobi metalowe okucie skórzanej huculskiej torby (tobiłki)

ty na kamiennych ossuariach, do których zbierano kości zmarłych. W swoich najdawniejszych znanych nam odsłonach symbol Rozety był organicznie związany ze sferą sacrum i pojawiał się niemal zawsze w kontekstach śmierci, w miejscach naznaczonych ideą graniczności (krzyże, miejsca pochówków, próg, nadproże, ramy okien, belka sosręb).

Współczesne zastosowanie symbolu

Obecnie znak Rozety utracił już swoje głębsze znaczenia, ale jednak pomimo to wciąż jest wykorzystywany w formie sentymentalnego ornamentu, czyli pięknej ozdoby, czy znaku komercyjnego. Spotkać ją można na wielu regionalnych pamiątkach karpaccich, logotypach firmowych, produktach spożywczych, szybach i we wnętrzach karpaccich restauracji i w sklepach regionalnych oraz ubraniach inspirowanych tradycją karpaccą. Z kolei coraz rzadziej można trafić na nią w miejscach, gdzie była pierwotnie stosowana na terenie Karpat, czyli w budownictwie, a najczęściej we wnętrzach góralskich chałup, a zwłaszcza na wystającej na osi powały belce sosręb oraz na meblach, ramach okien, drzwiach, nadprogiem i na sprzętach codziennego użytku np. łyżkach, talerzach, formach do wyrobu serów i innych gospodarskich narzędziach pasterskich. Czasem można ją zobaczyć na drewnianych lub betonowych krzyżach nagrobkowych (Podhale, Bieszczady) oraz na portalach świątyń. W celu zapewnienia pomyślnego i uporządkowanego życia, już od czasów średniowiecza albo wcześniej zdobiono tym ornamentem małopolskie drewniane skrzynie wianne, w których panna młoda otrzymała swój posag. Usytuowanie tego symbolu w centralnej części chaty na belce sosręb (swołoc – Huculsczyzna) pokrywającej się z jedną zapisaną też w Rozecie najważniejszych osi kierunkowych świata: wschód – zachód, może być wyrażeniem losu człowieka i Kosmosu, jego narodzin (wschód) i śmierci (zachód) oraz idei wiecznego powracania do sytuacji sprzed istnienia, które zawsze dokonuje się w jakimś centrum. Problematyka związana z genezą i znaczeniem symboli stosowanych w zdobnictwie ludowym wciąż należy do tematów pozostawionych na marginesie naukowych prac badawczych. Nie dysponuje też wiedzą na temat artykułu, w którym podjęta została próba dogłębnego wyjaśnienia znaczenia omawianego tu symbolu, która w dużej mierze jest wynikiem analiz autorki tego opracowania. ■

Bibliografia

1. J. Czastka-Kłapyta, *Magia Rozety*, „Tatry TPN”, nr. 62–63, Zakopane 2018, s. 164-173.
2. M. Gładysz, *Góralskie zdobnictwo drzewne na Śląsku*, Kraków 1935.
3. S. Kryciński, *Bieszczady od Komańczy do Wołosatego*, Rzeszów 2015.
4. <http://blog.royal-stone.pl/kwiat-zycia-magia-symbolu/>
5. <https://sosreb.wordpress.com/2012/12/07/rozeta-motyw-wiecej-niz-dekoracyjny/>

Jacek Szarek

Symbol bieszczadzkiej wiosny

Na przełomie marca i kwietnia warto wybrać się w Bieszczady, żeby zobaczyć kwitnące śnieżyce wiosenne. Kobierce białych kwiatów pokrywają obrzeża lasów i przydrożne łąki nad rzekami i potokami. To jeden z najbardziej efektownych spektakli bieszczadzkiej natury. Śnieżyce są dla Bieszczadów tym, czym krokusy dla Tatr czy Górców – symbolem budzącej się do życia przyrody. Występuje tu karpacki podgatunek tej rośliny, bardziej okazały od śnieżyc rosnących w innych częściach Polski i Europy.

Pierwsze śnieżyce pojawiają się w Bieszczadach czasem już pod koniec lutego. Najłatwiej można je wtedy zobaczyć na południowych stokach Otrytu, niedaleko Dwerniczka, przy wjeździe do Rusinowej Polany. Kilka tygodni później śnieżyca masowo zakwita na łące po drugiej stronie drogi wiodącej do Dwernika i Zatwarnicy, w rezerwacie „Śnieżyca wiosenna w Dwerniczku”, a także w wielu innych miejscach wzdłuż biegu rzeki San i jego dopływów.

Śnieżyca wiosenna (*Leucojum vernum*) to roślina należąca do rodziny amarylkowatych. Występuje w lasach łęgowych, w olszynie karpackiej, w zaroślach nad brzegami rzek i w jarach wyłobionych przez górskie potoki. Spotkamy ją także w wilgotnych i żyznych buczynach, a nawet na skraju grądów oraz na podmokłych łąkach. Największe naturalne skupiska znajdziemy w Bieszczadach i na Pogórzu Karpackim oraz na zachodzie kraju w Sudetach, na Nizinie



Śnieżyca wiosenna

Śląskiej, a także w Wielkopolsce, gdzie niedaleko Poznania, w Murowanej Goślinie, utworzono rezerwat „Śnieżycowy jar”. Za stanowiska naturalne uważane są jednak tylko te w Bieszczadach i Sudetach.

Choć bieszczadzkie śnieżyce z pozoru podobne są do sudeckich, to jednak występują łatwo zauważalne różnice. W Bieszczadach występuje karpacki podgatunek śnieżycy wiosennej (*Leucojum vernum* var. *carpathicum*). Karpackie śnieżyce są zwykle 20-30 procent wyższe niż sudeckie. Większość roślin na jednej łodyżce ma dwa kwiaty (czasem nawet trzy). W Sudetach jest to bardzo rzadkie. Śnieżyca karpacka zazwyczaj na płatkach ma żółte plamki, a sudecka zielone.

Wiele osób myli śnieżycę z podobnym kwiatem wiosennym – śnieżyczką przebiśnieg. Najłatwiej rozróżnić te rośliny po budowie kwiatu. Śnieżyce łatwo poznać, bo mają większe płatki zakończone żółtymi plamkami.

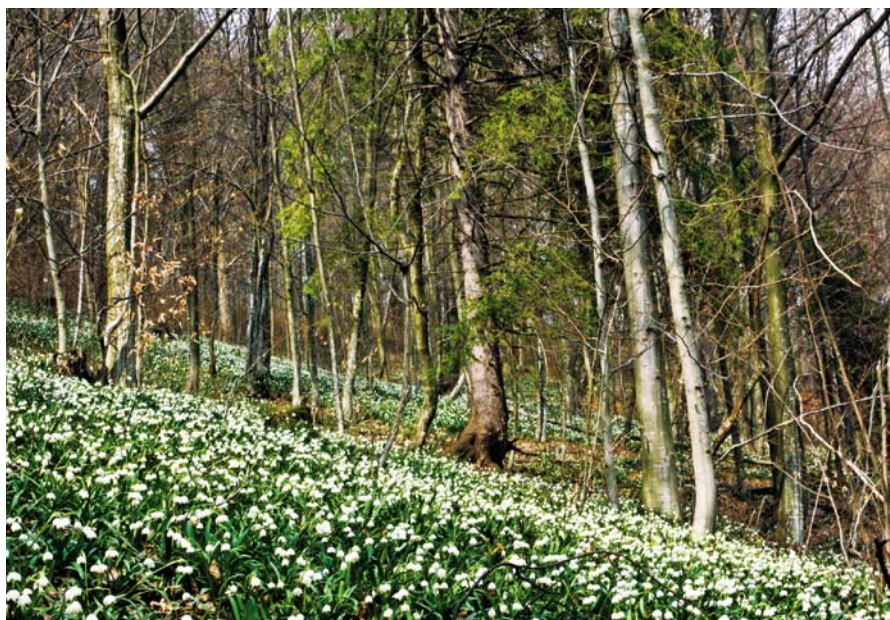
Śnieżyca, podobnie jak większość gatunków wczesnowiosennych jest geofitem. Kwitnie i wykształca owoce bardzo wcześnie – zanim na drzewach pojawią się liście i słońce przestanie docierać do dna lasu. Kwiaty zapylane są głównie przez pszczoły. Rozmnaża się zarówno przez nasiona, jak też wegetatywnie przez cebulki przybyszowe.

Nasiona śnieżycy roznoszone są przez mrówki. Ponieważ śnieżyce rosną w miejscach podmokłych, często na brzegach potoków, a nawet większych rzek, więc nasiona, a także cebulki transportowane są przez wodę. Ten proces nazywamy hydrochorią. Można tym tłumaczyć fakt, że śnieżyca z wysokich Bieszczadów przemieściła się w niższe partie tych gór, a potem dalej wzdłuż Sanu w stronę Gór Sanocko Turczańskich i Pogórza Karpackiego.

W Polsce karpacki podgatunek śnieżycy wiosennej rośnie jedynie



Śnieżyca wiosenna (z lewej) i śnieżyczka przebiśnieg (z prawej)



Śnieżyce na stanowisku koło Pszczelina



Śnieżyce karpackie niekiedy na jednej łodyżce wykształcają trzy kwiaty

we wschodniej części polskich Bieszczadów, wzdłuż biegu górnego Sanu, Terebowca i Wołosatego. Na stanowiskach naturalnych nie występuje natomiast w dorzeczeniach Solinki i Osławy. Nie znajdziemy go też w Beskidzie Niskim i innych pasmach Karpat Zachodnich.

Najdalej na południe położone stanowisko śnieżycy wiosennej możemy podziwiać w dolinie górnego Sanu w pobliżu torfowiska w nieistniejącej wsi Tarnawa Wyżna i obok drogi z płyt prowadzącej od torfowiska w stronę leśnego traktu zwanego „dziewiętnastką”. Łany kwitnących śnieżyc zobaczymy także wędrując drogą lub trasą narciarską wzdłuż potoku Muczny pomiędzy Tarnawą Niżną i Mucznem. W centrum Mucznego mamy stanowisko przy skrzyżowaniu z drogą prowadzącą do wyjścia na szlak na Bukowe Berdo. Wędrując nim mijamy śnieżyce kwitnące na znacznej wysokości, nawet blisko połonin.

Po zachodniej stronie pasma Tarnicy i Halicza, najwyżej położone miejsce występowania śnieżycy wiosennej znajduje się w dolinie Terebowca, nad Ustrzykami Górnymi. Tutaj zima trwa dłużej więc śnieżyce kwitną nawet na początku maja, kiedy w niższych położeniach nie ma już po nich śladu. Spotkamy je wędrując ścieżką przyrodniczą Ustrzyki Górne – Szeroki Wierch. Symbolem tej ścieżki jest właśnie śnieżyca wiosenna.

Liczne stanowiska możemy zobaczyć jadąc drogą z Ustrzyk Górnych w stronę Lutowisk wzdłuż rzeki Wołosaty. Śnieżyce rosną między innymi niedaleko wodospadu spadającego z skał do Wołosatego pomiędzy Widelkami a Pszczelinami. Niedaleko Pszczelina znajduje się duże i ładnie położone stanowisko na skraju lasu.

Wędrując dalej doliną Sanu docieramy do Dwerniczka, gdzie znajduje się najbardziej znane miejsce występowania tej rośliny w Bieszczadach. W 2001

roku utworzono tu rezerwat przyrody „Śnieżyca wiosenna w Dwerniczku” o powierzchni niemal 5 hektarów. Łatwo tu trafić, bo znajduje się tuż obok szosy. W pełni kwitnienia łąka jest biała – nie od śniegu, ale z powodu kwitnących śnieżyc.

Jadąc dalej w stronę Dwernika i Zatwarnicy na przydrożnych łąkach spotkamy kolejne, choć już znacznie mniejsze, skupiska tych roślin. Śnieżyce zobaczymy też wędrując drogą z Sękowca do Rajskiego. Duże stanowisko znajduje się na terenie rezerwatu Krywe, niedaleko mostu na Sanie w Studennem. Kwitnie także w kilku miejscach nad Zalewem Solińskim oraz w okolicach Zalewu Myczkowskiego, na zboczach Grodziska i Berda.

Jedno z najpiękniejszych, a jednocześnie mało znanych miejsc występowania śnieżycy, można zobaczyć w Postolowie niedaleko Leska. Stanowisko ma około 3 km długości i ciągnie się skrajem lasu Malinka i łąk położonych na terasie Sanu. Śnieżyca rośnie w dużych łanach w zaroślach na styku łąki i lasu, ale także w buczynie i grądach na zbo-



Nasiona i cebulki śnieżycy przemieszczają się z biegiem potoków i rzek



Rezerwat Śnieżycy wiosenna w Dwerniczku



Odznaka Korona Ziemi Sanockiej

czu. Szczególnie atrakcyjne są jary potoków spływających do Sanu, które w czasie kwitnienia pokryte są białymi kobicami. Można podejrzewać, że kiedyś jeszcze bardziej masowo rosła na łąkach, które zostały jednak zmeliorowane i przeznaczone na uprawy, a część z nich zabudowano. Docierając do końca tego stanowiska po drugiej stronie Sanu widzimy wzgórze Sobień z ruinami średniowiecznego zamku. Wśród wielu osobliwości przyrodniczych utworzonego tam rezerwatu znajdziemy także śnieżycę.

Jeżeli nie mamy czasu na dłuższe wyprawy wystarczy pojechać do Sanoka. Łany śnieżycy znajdziemy w skansenie i przylegającym do niego lesie. Przez wielu Sanoczan śnieżycę uznawana jako przyrodniczy symbol miasta. Umieszczono ją także w odznace Korony Ziemi Sanockiej. Drugie stanowisko w Sanoku znajduje się w olszynie karpackiej przylegającej do ul. Kółkowej obok strzelnicy łuczniczej. Poniżej Sanoka w okolicach Międzybrodzia śnieżycę rośnie na stoku wzgórza nad Sanem. To najbardziej wysunięte na

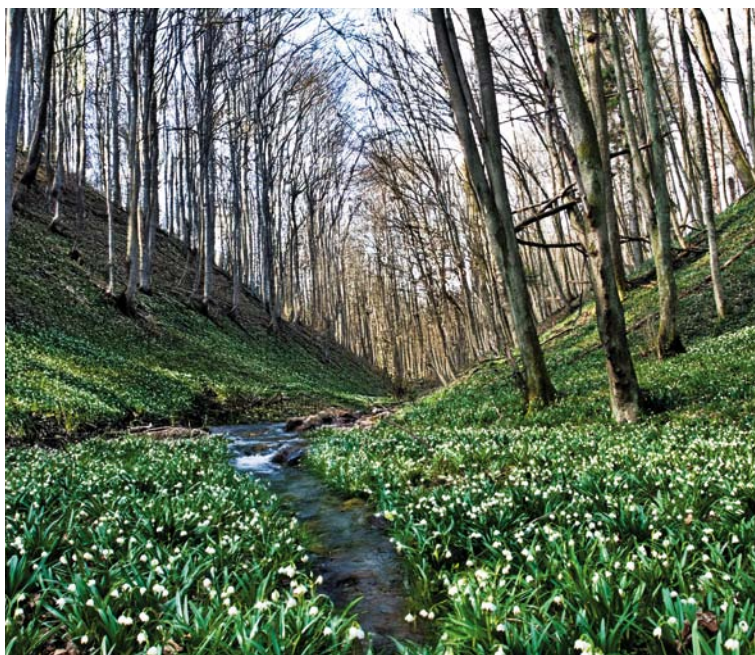
południe stanowisko naturalne znane autorowi tego tekstu. W regionie jest natomiast sporo miejsc, gdzie śnieżycę została wprowadzona i doskonale się zadomowiła, jak choćby w Arboretum w Bolestraszcach.

Podgatunek śnieżycy wiosennej występujący w Bieszczadach, uważany za subendemit karpacki, występuje także w Ukrainie, w dolinach Stryja i Dniestru, w Rumunii – w Siedmiogrodzie i we wschodniej Słowacji, niedaleko sztucznego jeziora Zemplínska šírava. Na tym ostatnim stanowisku śnieżycę rośnie na mokradłach przy niewielkiej rzeczce spływającej z południowych stoków Wyhorlatu. Aby chronić to piękne miejsce i występujące tu śnieżycę oraz inne rzadkie rośliny, utworzono rezerwat przyrody „Jovsianska hrabina”. Ma on status Narodowego Rezerwatu Przyrody, co oznacza że został objęty najwyższą formą ochrony przyrody na Słowacji.

Śnieżycę wiosenna to wyjątkowy symbol wiosny, znak budzącego się życia, w wielu kulturach utożsamiana z nadzieją, odrodzeniem i wiarą w lepszą przyszłość. Ze względu na piękne kwiaty pojawiające się wczesną wiosną, ta roślina była wykopywana i przenoszona do ogródków. To znacznie zmniejszyło liczbę miejsc jej występowania. Dlatego też w latach 1946–2014 znajdowała się pod ochroną ścisłą. Obecnie jest objęta ochroną częściową. Nie zrywajmy i nie wykopujmy jej więc ze stanowisk naturalnych. Jeżeli chcemy mieć śnieżycę koło domu, to cebulki można kupić w sklepach ogrodniczych. Śnieżycę lepiej zostawić w spokoju nie tylko dlatego, że jest chroniona, lecz także z tego powodu, że to roślina trująca.

Substancje wytwarzane przez śnieżycę w odpowiednich stężeniach służą do produkcji leków m.in. używanych w leczeniu choroby Alzheimera. Trwają też badania w wykorzystaniu tych substancji w zwalczaniu wirusa HIV.

Masowy wysyp śnieżycy w Bieszczadach i Górach Sanocko-Turczańskich następuje, w zależności od pogody, od połowy marca do połowy kwietnia. Wiosną warto więc dowiedzieć się czy już kwitnie i pojechać zobaczyć ten niezwykle spektakl przyrody.



Śnieżycowy jar koło Postołowa

Fotografie: Jacek Szarek

Bieszczady piórem malowane

Wybór tekstów dr Hubert Ossadnik i Wojciech Wesołkin (cz. III)

Połoniny

Na noc w Berehach przez Nasiczne stajemy. Włość ta, równie jak Smolnik, nabyta z Ossolińskich masy, graniczy już z Węgrami, liczy około 70 osady, i zawiera część połonin dołem bukami, grabami, leszczyną obrosłych, wierzchem okrytych trawiastym kożuchem, dostarczającym tyśiącom wołów obfitej leśnej paszy. Rozległość tych wzgórzów ogromna, jedna ubocz mierzy 600 do 1000 morgów, a takich kilka same posiadają Berehy. Nie oswojonemu z ogromem przestrzeni oku nie trudno złudzić się widokiem, i miary odległości chybiając, stada wołów i owiec trzodami być mniemałem. Buki na szczycie Beretów, Rawka zwanym, rosnące karleją również jak inne drzewa. Wetlina graniczy z Berehami, Skorodne i Lutowska niedaleko, Ustrzyki, Stuposiany, Bereżki na wschód przytykają.

Adam Fastnacht, *Bieszczady w relacjach pamiętnikarskich z XIX wieku*, opis Marcina Smarzewskiego z Izdebek, weterana wojen napoleońskich, żołnierza Księstwa Warszawskiego i powstania listopadowego, „Rocznik Sanocki”, t. 2, Kraków 1967

Hnatowe Berdo

Hnatowe Berdo (Ignacego Skały) [znajduje się] w górach w Sanockiem, pod którym miała być wioska Wetlina. Podanie mówi o Ignacym, rycerzu i myśliwym, który pokochał się w dziewicy pewnej nad Dniestrem, ale mu jej nie dali rodzice, że w greckiej wierze był wychowany. Bijąc się potem z Tatarami, gdy ci klasztor napadli, on go odbił i z rąk pohańca wyrwał mniszkę, która była właśnie jego kochanką; gdy z nią ślub brał w cerkwi, grom uderzył trzy razy i rozerwał ich śluby, tak że tajemnie z sobą żyli, gdy on ją do Wetliny sprowadził pod skałę. Tu napadli ją zbójcy i dom podpalili. Gdy ona była w płomieniu, Ignacy, chcąc dać prędko ratunek, pospieszył na trzy urwiska i spadł z koniem ze skały w przepaść.

Oskar Kolberg, *Dzieła wszystkie*, t. 51: *Sanockie-Krośńskie*, cz. 3, Wrocław-Poznań 1973

Tarnica

Płaski, kamienisty szczyt Tarnicy musiał być w czasie pierwszej wojny światowej jedną wielką twierdzą: we wszystkie strony ciągnęły się tu wygrzebane w zboczach i obmurowane kamieniami bunkry, stanowiska artylerii i ciężkich karabinów maszynowych, rowy strzeleckie i okopy. Panował też ten wierzchołek rzeczywiście nad

całą okolicą i widok roztaczał się stąd wspaniały, dziki i daleki, na cały szeroko rozpetzły maszyn górski i leżące pod nim doliny. Ku zachodowi urywało się bardzo strome, kamieniste, miejscami skaliste zbocze ku szerokiej, płaskiej, gołej niecce, w której leżała ongiś ludna wieś Wołosate. Była to bardzo ciekawa wieś, odrębna etnograficznie i kulturowo, wciśnięta w najbardziej odległy kąt między granicznym Beskidem od zachodu i południa, a od północy i wschodu potężnym guzem połonin, które odcięły ją niemal całkowicie od świata.

Ryszard Wiktor Schramm, *Prywatna podróż pamięci*, Olszanica 2003

Na Halicz z Sokolików Górskich

Tedy wczesnym rankiem ruszyliśmy ze Sambora na południe koleją Sambor-Sianki, podrozdzie rozważając, w jakie się strony udajemy. Przecie już Długosz w swej „orografii ziem polskich” po różnych górach karpaccich, [...] tak pisze o okolicach w któreśmy się właśnie wybrali: *Bieszczad, góra blisko zamku Sobieńskiego (dziś ruina na pd. od Sanoka nad Sanem), graniczna pomiędzy ziemią polską a węgierską. Na jego bowiem wierzchołku leży kamień z ruskim napisem, umieszczony przez Lwa, niegdyś księcia ruskiego, na oznaczenie granic Królestwa Polskiego (?) i Węgierskiego. Na tej górze, przy jej wierzchołku, powstają następujące rzeki znakomite: Dniestr, San, Styr (?), i Lissa (?), a płynąc z wierzchołka góry, spadają w rozmaitym kierunku, na niżej leżące ziemie, a mianowicie polskie, ruskie i węgierskie. A w innym miejscu czytamy u Długosza: źródło Sanu w górach Sarmackich w górze Beskid zwanej i na płaszczyźnie, co się zowie Huska połonina.*

Tłumaczenie tłumaczeniem (Bernemana), ale to pewne, że Długosz znał Sanocko-samborskie góry, z których wypływają San, Dniestr i Stryk, że miał na myśli nie jeden tylko szczyt, lecz całą grupę górską, dla której to od niego właśnie nazwę Bieszczady stosujemy, w szerszym sensie aż po rzekę Świcę i że gdzieś tędy przez owe góry przebiegać musiała dawna granica między Polską, Rusią i Węgrami i że tu już wchodziło się w krainę połonin (Huska Połonina).

Wysiadamy na maleńkiej stacji Sokoliki, instalując się od razu w jedynym „hotelu” tartacznym, w którym – dziwnym trafem – tyle było łóżek ile członków rodziny właściciela hotelu. Złożywszy niepotrzebne rzeczy, ruszamy zaraz na pobliski Halicz. [...] Przez piękne łąki i pola dostajemy się do długiej wsi dolinnej – Bukowca, rozłożonej w ten sposób po brzegach potoku, że domy przerzucają się grupami z jednego brzegu na drugi. Domy bez wyjątku z drzewa, kryte gontem, rzadziej słomą, niebielone, jednoczące

pod wspólnym dachem izby mieszkalne i przybytki dla dobytku. Kominów nie zauważyliśmy. Pięknie odbijała się na tle tych domów różowo-czerwona cerkiewka z kilku ponakładanymi na siebie dachami. Wieś położona od 750-800 m. np. wchodzi w las. Bystry potok Bukowiec, pełen małych wodospadów i bystrzyc, prowadzi nas, po krętej drodze, a wzdłuż kolejki leśnej w górę. Wszędzie pełno obsuwów i odkrywek.

Las prawie doszczętnie zniszczony. Kolejka bowiem nie próżnowała. Nie widzimy nigdzie ani śladu zalesienia, jakkolwiek las wywieziono sporych lat kilkanaście. Za to wspaniała leśniczówka nieco dalej nad Sanem przypomina, że interes leśny nienajgorzej się opłacił przebywającemu w Wiedniu właścicielowi.

Na świecących jednak połoninami stokach Halicza [...] Jeszcze najlepiej uchronił się przed zniszczeniem las bukowy na samej granicy lasu. Potężne buki przedstawiają tu jednak dziwny obraz drzew skarłatych, niskich, przysadkowych i krępych, a nawet płożących się niekiedy, jakby chciały utworzyć „kosodrzewinę” bukową. Wreszcie urywa się ich dość zwarta ściana, ustępując miejsca panującej wszędzie olszy czarnej, która wzdłuż potoków zapuszcza się wysoko.

Od 1150–1335 m. rozpościera się połonina, porośnięta bujnymi trawami, jakby srebrnoszarym kobiercem. [...] Wreszcie ukazują się same grzbieity o ogólnym przebiegu od zachodu ku wschodowi. Stoki ich są strome, opadając w dół jakby schodami, na które zwolna się wchodzi. W wyższych częściach pośród traw zjawiają się wychodnie warstw, pochyłonych, jak wszędzie w tej części Karpat ku południowi. Tworzą one charakterystyczne odstonięcia, jakby skałki. Przeważa wszędzie gruboziarnisty łatwo kruszący się piaskowiec. Z niego zbudowany jest szczyt Halicza. (...) Południowe słońce przypieka na szczycie, ale piękna pogoda odświeżania przed nami bardzo rozległe widoki, na wschód aż po Stoh, Pikuj i Paraszkę, i na zachód aż po Cisnę.

Smutny widok gospodarki leśnej i niezbyt zachęcający obraz gospodarki rolnej, prowadzonej sposobami archaicznymi, nie budził wesołych refleksji na temat gospodarczego podniesienia tych okolic. Przyszłość ich leży niewątpliwie w podniesieniu gospodarki hodowlanej i w ruchu letniskowym, który grupuje się dotychczas, w Siankach i Stuposianach (w pięknej dolinie Wołosatego, dopływu Sanu). Przedłużenie kolejki z Cisny do Sokolik bardzoby ten ruch ożywiło.

Stanisław Pawłowski, *Z wycieczki na górę Halicz w Bieszczadach Zachodnich*, „Ziemia – dwutygodnik krajoznawczy ilustrowany. Organ Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego”, rok XI, nr 17 z 01.IX.1926.

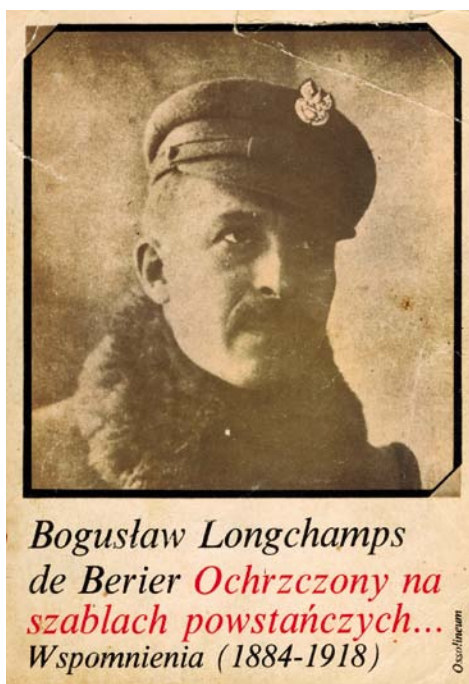
Źródła Sanu

Przypatrywałem się takiemu stadu werchowyskich wołów w Siankach na Beskidzie, siedząc w cieniu starego buka, spod którego korzeni San srebrnym wypływał potokiem... Tu u źródeł Sanu w tym uroczysku ziemi były pokoszone łąki dokoła i wonnym sianem pachniał cały Beskid.

Adam Fastnacht, *Bieszczady w relacjach pamiętnikarskich z XIX wieku. Opis źródeł Sanu Wincentego Pola*, „Rocznik Sanocki”, t. 2, Kraków 1967

Dolina Sanu, Sokoliki

Na wschodzie nad Borynią i Wysockiem siniąło graniczne wysokie pasmo z poszarpanym szczytem Pikuja. Poniżej Sianek, ukrytych w lasach, zaczynała się dolina Sanu, od razu dość szeroka, a rozszerzająca się coraz bardziej na zachód. Od południa, wznosząc się na siedemset przeszło metrów ponad nią, Połoniny Tarnawskie widziane ze wzgórz jabłoneckich wydawały się jeszcze wyższe i fioletowo rysowały się ostrymi grzbieitami i zębami na prawie szafirowym, już węgierskim niebie. W dolinie błyszczał w słońcu San i bieleła się droga do Tarnawy i dalej do Lutowisk. Nad nią to dostrzegłem na prawo małą cerkiew drewnianą i dwór wśród wysokich lip.



Niedźwiedź sokolicki

Pytałem o polowanie, o niedźwiedzie. Capko pamiętał jeszcze pana Alojzego Strzeleckiego, znakomitego tych stron myśliwego, polującego wówczas w górach od Sanockiego począwszy aż po Smorze i „po polskim, i po madiarskim boku”. Otóż ten Strzelecki, który był kuzynem babki Dybowskiej, prosił o pozwolenie zapolowania na niedźwiedzia, jaki zdawał się mieć swoją ostoję właśnie w lasach sokolickich. Dziadek wiedział o nim. Gajowi widzieli niedźwiedzia i opowiadali o jego wyjątkowej wielkości. Ślad rzeczywiście przedstawiał się bardzo poważnie, prawie na pięć szeroki. Szkody jednak ten niedźwiedź nie robił żadnej ani w Sokolikach, ani w Tarnawie, ani w Siankach. Skarżono się na niego z Dźwiniacza i aż z Bereh, ale mówili, że to inny niedźwiedź, bo tropy się nie zgadzały. Dziadek wobec braku szkód bardzo niechętnie zezwolił na wyprawę na niego i cieszył się, gdy po kilku dniach Strzelecki dał za wygraną, bo niedźwiedź do padliny nie przychodził, a tropiony i osaczony wynosił się zawsze w porę z obławy. [...] Teraz już tu niedźwiedzi nie ma, chyba jaki przechodni.

Bogusław Longschamps de Berier, *Ochrzczony na szablach powstańczych... Wspomnienia (1884–1918)*, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk–Łódź 1983

Hnatowe Berdo

Muszę tu spocząć; góra wysoka,
a koń zmęczony od rana;
powiedz tymczasem,
czemu opoka Hnatowym berdem nazwana?

Patrzaj myśliwczę, gdzie ta dolina
pomiędzy dwoma górami,
tam była niegdyś dawna Wetlina,
dzisiaj zarosła lasami.

Adam Fastnacht, *Bieszczady w relacjach pamiętnikarskich z XIX wieku*, Jan Kanty Podolecki, poemat *Hnatowe Berdo*, „Rocznik Sanocki”, t. 2, Kraków 1967

Wołowa szlachta z za Otryta

Sanoczenie urazę jeszcze inną mieli;
Księżę zwał ich: „Wołową szlachtą z za Otryta.”
Jest wielka góra Otryt, co Sanockie dzieli,
A droga wiedzie przez nią taka wyśmienita,
Że szlachta tylko wierzchem jeździ tamtą stroną,
I często się potrzeba jeszcze trzymać kuli –
A gdy przyjdzie szlachciankę przeprowadzić w drynduli
To sześcioma wołami na dział wyciągają
I dopiero za górą konie przyprzegają.
Ztąd księżę zwyczaj mawiać:

„A Pan Bóg mi świadkiem,
Nigdy zgadnąć nie mogę, co tam szlachta jada?
Bo raz tam tylko wróbel zaleciał przypadkiem
I z głodu zdecht!”

Więc była uraza nie lada!
Bo cóż zresztą zwać szlachtę „wołową” w narodzie
I gdy chleba nie prosi, przymawiać o głodzie?
Ztąd się szlachta Sanocka burzyła nieznośnie
Na to, że na nieślawę Otryt jej wyrośnie!

Poezje Wincentego Pola, *Pamiętnik Imci Pana Winnickiego w trzech częściach, Sejmik – generał – województwa ruskiego odprawiony 1766 r. w Sądowej Wiśni*, cz. 3: *Sejmikowa szlachecka tradycja*, Lwów 1875

Dział wód

Uherce leżą częścią w równinie stykającej się z równiną sanową, częścią są oparte o pasmo gór, które ciągną się ku wschodowi, tutaj swój początek bierze, przestrzeń mil kilka zalega, a zwane jest Żukowem. Jałowy Żuków miał być przed laty cały lasem pokryty i wtenczas piękny musiał mieć pozór; dzisiaj wykarczowany prawie do szczętu, tu i ówdzie tylko jeszcze obrośły, świeci gliniastymi wyrwami i nagimi stoki, od południa i północy stromo z potokami spadającymi. Na grzbiet Żukowa przypada linia, która biorąc się na Leszczowate poza Wiśnię Sądową, Lwów i winnickie góry ku Wołyniowi, jest działem wód z jednej stro-

ny w Czarne, a z drugiej w Bałtyckie Morze płynących. To pasmo ciągnie się od Uhrec nad Olszanicą, Stefkową, Ustianową, Równią, Hoszowem i Rabem, a kończy się we wsi Żołobku, która z podobieństwa do żłobu tę nazwę nosi, i z lasami łumnieńskiego starostwa granicząc, jest razem jedną z granicznych wiosek ziemi sanockiej.

Oskar Kolberg, *Dzieła wszystkie*, tom 51: *Sanockie-Krośnieńskie*, cz. III, Wrocław-Poznań 1973.

* * *

Dziewka pokłóciła się z matką, tak że gdy ją matka zakłęła, dziewczka obróciła się w kamień. Kamień ten rozrastał się tak, że zakrył drugą część góry i byłby coraz więcej rósł, i zakrył całe Lisko, ale księża go poświęcili i tam, gdzie krzyż postawili, rozłupała się skała na dwoje i tak pozostała.

Oskar Kolberg, *Dzieła wszystkie*, tom 51: *Sanockie-Krośnieńskie*, cz. III, Wrocław-Poznań 1973.

Sanockie

Wsie wszędzie ludne, a na równinach dosyć zamożne, odznaczające się od innych osad schludnymi i dobrze zbudowanymi domami – nie brak tu bowiem drzewa budulcowego. Wieśniak sanocki jest w ogóle pracowity, zapobiegliwy, oddaje się tylko niestety zbyt pijaństwu. Przyczyną tego jest niezaprzeczalnie brak szkółek na wsiach – nie ma bowiem w całym kraju naszym okolicy tak skąpo uposażonej szkołkami jak Sanockie.

Aleksander Kisielewski, *Porzeczce Wisły. Wspomnienia z podróży*, Lwów 1872.

* * *

Trzecią ziemią województwa ruskiego jest sanocka, sąsiadująca z górami Węgier i samego Siedmiogrodu, i stąd cała pagórkowata, z wyjątkiem okolic, gdzie Krosno leży, główne miasto na tym obszarze, mające skład towarów węgierskich. [...] bowiem Węgrzy powszechnie w miastach podgórskich okolic towary swoje i wina składują.

Szymon Staropolski, *Polska albo opisanie położenia Królestwa polskiego*, Kraków 1976.

Sanok

Nad Sanem wijącym się pośród gór zalesionych i wzgórz pokrytych obecnie pasami pól uprawnych, powstała przed wiekami osada, która od rzeki wzięła nazwę swoją: S a n o k. Czas jej powstania nie jest nam znany, ale możemy przypuszczać, że się to stało bardzo dawno, bo już w połowie XII wieku Sanok był grodem obronnym i ośrodkiem administracyjnym znacznego obszaru.

Adam Fastnacht, *Zarys dziejów Sanoka*, [w:] *Księga pamiątkowa Gimnazjum Męskiego w Sanoku 1888–1958*, Kraków 1958.

Lidia Widak

Oferta Karpackiego Uniwersytetu Ludowego 2025

Karpacki Uniwersytet Ludowy od początku swojej działalności organizuje warsztaty i kursy, których celem jest zachowanie kulturowego i historycznego dziedzictwa Karpat, w tym tradycji, rzemiosła i obyczajów, a także promocja tradycyjnego rzemiosła. Warsztaty prowadzone w kameralnych 10-osobowych grupach, sprzyjają integracji i tworzeniu się nowych relacji.

W tym roku Karpacki Uniwersytet Ludowy przygotował bogatą ofertę edukacyjną, obejmującą cztery kursy stacjonarne dla osób dorosłych. Uczestnicy będą mieli okazję rozwijać swoje umiejętności w zakresie fotografii, cerami-



Prace uczestników kursu ceramicznego, fot. Lidia Widak



Zajęcia podczas kursu fotograficznego, 2023 r., fot. Lidia Widak

ki, rzemiosła karpackiego oraz wykorzystania roślin dziko rosnących. Każdy kurs składa się z 5 dwudniowych spotkań, łączących część teoretyczną z praktycznymi warsztatami, prowadzonymi przez doświadczonych instruktorów.

Oferta obejmuje 4 kursy:

- **Kurs fotograficzny** – to praktyczne warsztaty dla miłośników fotografii, którzy chcą rozwijać swoje umiejętności w terenie. Uczestnicy, pod okiem doświadczonego instruktora, podróżują w różne miejsca na terenie Bieszczadów i okolic, gdzie ćwiczą fotografię m.in.: architektury, natury, czy fotografię reportażową. Każdego dnia po powrocie do Uniwersytetu prowadzący analizuje wykonane zdjęcia, omawiając ich kompozycję, technikę i sposób uchwycenia tematu. To intensywne zajęcia,

które łączą teorię z praktyką i pozwalają spojrzeć na fotografię z nowej perspektywy.

- **Kurs ceramiczny** – to kompleksowe warsztaty dla osób, które chcą poznać tajniki pracy z gliną i tradycyjne techniki ceramiczne. Zajęcia obejmują zarówno teorię, jak i praktykę – uczestnicy dowiedzą się, jak przygotować pracownię, jakie materiały i narzędzia są niezbędne oraz jakie techniki lepienia i zdobienia można zastosować. W części praktycznej będą mieli okazję samodzielnie wyrabiać glinę, formować naczynia różnymi metodami, a także zdobić i szkliwić swoje prace. Uczestnicy podczas zajęć tworzą piękne przedmioty, które nawiązują do tradycyjnego wzornictwa karpackiego.
- **Kurs z wykorzystania roślin dziko rosnących** – to zajęcia dla osób, które chcą poznać zastosowanie roślin, które naturalnie występują na naszych karpackich łąkach.



Zajęcia podczas kursu z wykorzystania roślin, 2023 r.,
fot. Agnieszka Pieniążek

Podczas spotkań uczestnicy dowiedzą się, jak rozpoznawać gatunki jadalne, lecznicze oraz jak unikać roślin trujących. W części praktycznej wezmą udział w spacerach botanicznych, podczas których będą zbierać rośliny, poznając ich cechy organoleptyczne – zapach, smak i strukturę. Następnie nauczą się zasad suszenia i przechowywania ziół oraz przygotowują napary, wywary i „dzikie posiłki” wykorzystujące zebrane rośliny. Kurs łączy tradycyjną wiedzę o roślinach z praktycznymi umiejętnościami przydatnymi w codziennym życiu.

- **Kurs karpacki** – to cykl warsztatów poświęconych tradycyjnemu rzemiosłu i kulturze Karpat. Uczestnicy wezmą udział w dwudniowych zajęciach m.in. z szycia na maszynie, warsztatach pisanki batikowej oraz ceramiki, poznając zarówno teorię, jak i praktyczne techniki pracy. Wspólnym motywem wszystkich zajęć będzie karpackie zdobnictwo oraz tradycje i zwyczaje regionu. To doskonała okazja, by nauczyć się technik rękodzielniczych i odkryć bogactwo karpackiej sztuki ludowej w inspirującej, twórczej atmosferze.

* * *

Każdy z kursów to nie tylko okazja do nauki, ale także możliwość spotkania z ludźmi o podobnych zainteresowaniach i wspólnego odkrywania bogactwa karpackiej tradycji. Długość trwania kurów spotkań sprzyja integracji grupy – wspólna nauka, praca i spędzanie czasu tworzą atmosferę współpracy i pozwalają nawiązać głębsze relacje. Dzięki temu uczestnicy nie tylko zdobywają nowe umiejętności, ale także stają się częścią społeczności, którą łączy pasja do tradycji i rękodzieła.

Słuchowiska karpackie

Oprócz kursów stacjonarnych Karpacki Uniwersytet Ludowy zaprasza również na słuchowiska karpackie – wykłady online, które będą transmitowane na żywo, a następnie udostępnione w formie nagrań na stronie internetowej. Ich tematyka koncentruje się na bogactwie dziedzictwa kulturowego i przyrodniczego Karpat, ze szczególnym uwzględnieniem regionu pogranicza polsko-słowacko-ukraińskiego. To doskonała okazja, by poszerzyć swoją wiedzę o historii, tradycjach i przyrodzie tego wyjątkowego obszaru. W tegorocznej edycji poruszone zostaną między innymi następujące zagadnienia:

- **„Dzieje Romów na ziemiach polskich ze szczególnym uwzględnieniem pogranicza polsko-ukraińsko-słowackiego”** – 26.03.2025 r. godz. 18:00. Słuchowisko poprowadzi Andrzej Łuczak - absolwent 5 letnich studiów magisterskich oraz 4 letnich studiów doktorskich na kierunku historia na Uniwersytecie Zielonogórskim oraz 3 letnich studiów licencjackich na kierunku administracja publiczna w dawnej PWSZ Sulechów. Historyk, politolog, nauczyciel i wykładowca akademicki. Działacz w obszarze polityki społecznej skierowanej do różnych grup narodowościowych. Autor takich publikacji jak „Sytuacja ludności romskiej na ziemi lubuskiej w 20 wieku”, „Romowie na Warmii i Mazurach”.



Zajęcia podczas kursu fotograficznego, 2023 r., fot. Lidia Widak

- **„Zapomniana schizma – odrodzenie prawostawia na słowackiej Łemkowszczyźnie na pocz. XX w.”** – 3.04.2025 r., godz. 17:00. Słuchowisko poprowadzi Maciej Pieróg – student historii na Uniwersytecie Jagiellońskim. Uczestnik kilku kwerend archiwalnych w Archiwum Państwowym w Koszycach. Pasjonat turystyki górskiej, a szczególnie Tatr i Bieszczad. Miłośnik kultury słowackiej.
- **„Różnicowanie kulturowe i narodowe Podkarpacia – historia i teraźniejszość”** – 9.04.2025 r., godz. 18:00 – Andrzej Łuczak.
- **„Życie kobiet w powojennych Bieszczadach”** – 11.04.2025 r., godz. 17:00. Słuchowisko poprowadzi LeAnn Dudka – pochodząca ze Stalowej Woli, obecnie mieszkanka Bieszczadów, a dokładnie Czarnej Górnej. Ukończyła studia na Uniwersytecie Rzeszowskim na kierunku kulturoznawstwo i muzeologia. Na co dzień wraz z mężem prowadzi prywatne Muzeum Historii Bieszczad w Czarnej Górnej, jest również prezesem Stowarzyszenia Aktywnych Poszukiwaczy Historii „Karpaty”. Na swoim koncie ma publikację naukową pt. *(Nie)obecność kobiety w Bieszczadzie w perspektywie kulturoznawczej*.

Po więcej informacji o kursach i słuchowiskach zapraszamy na naszą stronę internetową: www.instytutregionalny.eu.

Kursy stacjonarne i słuchowiska karpackie realizowane są w ramach zadania „Wsparcie infrastrukturalne i programowe Karpackiego Uniwersytetu Ludowego” sfinansowanego ze środków Narodowego Instytutu Wolności – Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego w ramach Rządowego Programu Wspierania Rozwoju Uniwersytetów Ludowych na lata 2020–2030.

Robert Bańkosz „Życie codzienne Romów w Bieszczadach w okresie międzywojennym”

O tradycyjnych zajęciach Romów, ich kulturze i pierwszych wzmiankach historycznych opowiada Robert Bańkosz, specjalista ds. turystyki Urzędu Miasta Sanoka – Centrum Informacji Turystycznej. Przewodnik beskidzki kl. I, pilot wycieczek turystycznych, przewodnik Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku, przewodnik Muzeum Historycznego w Sanoku, członek komisji egzaminacyjnej przewodników górskich przy Marszałku Województwa Podkarpackiego, współzałożyciel, a następnie wieloletni wiceprezes i prezes Stowarzyszenia Przewodników Beskidzkich „Karpaty”, przewodniczący Rady Fundacji Bieszczadzkiej, Wiceprezes Bieszczadzkiego Uniwersytetu Ludowego, członek PTTK „Ziemia Sanocka”, członek Bieszczadzkiego Towarzystwa Cyklistów w Ustrzykach Dolnych, członek Stowarzyszenia Przyjaciół Dobrego Wojaka Szwajjka.



Józef Michałek „Bacowanie. Praktyka wypasu kulturowego wpisana na krajową listę niematerialnego dziedzictwa kultury”

Czym jest tradycyjna sztuka pasterstwa w Karpatach, bacowanie, wspólnotowy wypas? Jaki jest symbol pasterskiej tradycji i lokalnej tożsamości? O tym i nie tylko opowiada Józef Michałek, góral i praktyk w zakresie gospodarki rolnej w Karpatach, w szczególności funkcjonowania gospodarstw pasterskich. Od wielu lat ściśle współpracuje z gospodarstwami pasterskimi na obszarze od Beskidu Śląskiego po Bieszczady. Od 2008 r. koordynator wojewódzkiego programu Owca plus w Beskidzie Śląskim i Żywieckim, w 2022 i 2023 koordynator Małopolskiego Wypasu Kulturowego. Współorganizator Redyku Karpackiego 2013 i wielu innych wydarzeń aktywizujących społeczność lokalne. Znamca kultury pasterskiej i góralszczyzny. Przedstawiciel baców we wniosku o wpis Bacowania na Krajową listę niematerialnego dziedzictwa kultury.



Adam Szary „Znaczenie dzikich roślin w kulturze dawnych Karpat – Bieszczady i Beskid Niski”

O roli roślin w codziennym życiu i obrzędowości mieszkańców Karpat, ich znaczeniu w wierzeniach, praktykach świątecznych, przestrzeni sakralnej oraz bogatej symbolice związanej z dziką florą Karpat opowiada Adam Szary, biolog z Bieszczadzkiego Parku Narodowego, specjalizujący się w fitosociologii, ochronie przyrody i etnobotanice. W zakresie tych trzech dziedzin wydał około 90 publikacji naukowych i popularno-naukowych, w tym trzy książki etnobotaniczne: „Tajemnice Bieszczadzkich roślin”, „Bieszczadzkie motywy roślinne”, „Rośliny i siedliska związane z wypasem”. Jest też autorem pozycji naukowych dotyczących całych siedlisk i ekologicznych aspektów świata roślinnego, opisanych w kontekście zbiorowisk roślinnych, w tym publikacji książkowych: „Zbiorowiska leśne Bieszczadzkiego PN”, „Obszary Natura 2000 na Podkarpaciu” (rozdział: Góry Słonne), „Flora w strefie otuliny BdPN”, „Zbiorowiska roślinne w strefie otuliny BdPN”, „Szata roślinna bieszczadzkiej krainy dolin”.



Dr inż. Agata Gajdek, architekt krajobrazu „Łemkowski krajobraz znaczone krzyżami”

O roli w krajobrazie, znaczeniu w kulturze i wierzeniach oraz zmianach, jakie zaszły na przestrzeni lat opowiada Agata Gajdek, absolwentka Wydziału Architektury Politechniki Krakowskiej, obecnie adiunkt i kierownik Pracowni Architektury Krajobrazu Uniwersytetu Rzeszowskiego. Jej zainteresowania zawodowe skupiają się zarówno na miejskich terenach zieleni, ze szczególnym uwzględnieniem terenów zabaw dla dzieci, jak i dotyczą przekształceń wiejskiego krajobrazu. Przekonana o konieczności stosowania proekologicznych rozwiązań w przestrzeni publicznej i przydomowej. Dodatkowo bada i kataloguje tradycyjne budownictwo drewniane. Prywatnie właścicielka dużego ogrodu, pasjonatka pieszych wędrówek i mama czwórki dzieci.

